

Sandra Field

Muszę odzyskać żonę



Rozdział 1

Był to dzień podobny do innych. Ale tylko do czwartej po południu.

O tej bowiem godzinie Troy Donovan wszedł energicznym krokiem do sekretariatu, witając Vere uśmiechem człowieka goniącego jakiś niedościgły cel i całkiem nieświadomego faktu, że w tym właśnie momencie skupia na sobie spojrzenia wszystkich kobiet.

Vera odwzajemniła uśmiech.

– Poczcie znajdzie pan na swoim biurku – powiedziała swoim miłym głosem.

Była szczęśliwą mężatką. Jej mąż, urzędnik państwowy, uwielbiał ją i wręcz adorował. Ale już dawno uznała, że kobieta, która nie zwraca uwagi na dołek w brodzie doktora Donovana, nie widzi smukłości i barczystości jego sylwetki oraz tęsknej szarości porywających oczu – zasługuje na miano wydrążonej tytkwy. Dlatego więc nie potrafiła zrozumieć, jak takiego faceta mogła opuścić żona?

– Dziękuję.

Troy minął sekretariat i poszedł w głąb korytarza. Wydłużył krok. Po kilku godzinach spędzonych w sali operacyjnej ruch sprawiał mu przyjemność. Za pół godziny czekało go zebranie. Zdąży więc jeszcze przejrzeć korespondencję i załatwić kilka telefonów. Pchnął drzwi swojego gabinetu i podszedł do biurka.

Natychmiast zauważył tę kopertę. Leżała na samym wierzchu i przykuła jego wzrok swoim nadrukiem. Wysłano ją z Instytutu Medycznego w Arizonie. Był to cieszący się uznaną sławą ośrodek dziecięcej chirurgii plastycznej, a w tej właśnie dziedzinie specjalizował się Troy. Sięgnął po nóż do rozcinania papieru.

Dziesięć minut później wciąż się wpatrywał w trzymaną w dłoni kartkę papieru. Proponowano mu pracę. Taką, o jakiej zawsze marzył i którą można było porównać jedynie do wygranej na loterii. Praktyka chirurgiczna, szkolenie studentów, szerokie możliwości samodzielnych badań, a w dodatku pensja, która windowała człowieka kilka szczebli wyżej w drabinie społecznej.

Nowy początek. Nowy kraj, nowy szpital, nowi ludzie. I nikogo, kto znałby Lucy i Michaela.

Mógłby sprzedać dom, w którym on i Lucy spędzili cztery lata swojego małżeństwa i gdzie wciąż mieszkał, mimo że od jej odejścia upłynął już ponad rok. Tak, pozbyć się tego domu, a wraz z nim wszystkich wspomnień. Rozpocząć życie od nowa.

Pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Dwanaście długich miesięcy bez Lucy, a zarazem każda chwila wypełniona jej obecnością. Szedł szpitalnym korytarzem, ona szła u jego boku. Krzątał się w kuchni, czuł, że za chwilę wejdzie z zakupami. Leżał w łóżku, miał ją przy sobie i

we wszystkich swych zmysłach.

Wyjazd do Stanów pod tym względem niewiele by tu pomógł. Tak czy inaczej, zabrałby Lucy ze sobą.

Zadzwonił telefon. Troy automatycznym ruchem sięgnął po słuchawkę. Rozpoznał głos Very.

– Doktorze Donovan, ma pan gości. Przyszli Trisha i Peter Winslowowie. Oczywiście zdają sobie sprawę, że nie byli umówieni. Jaką mam dać im odpowiedź?

Troy przypomniał sobie natychmiast to małżeństwo. Dwa lata temu ich mała córeczka, Mandy, uległa rozległym poparzeniom trzeciego stopnia. Bóg ulitował się i zabrał ją do siebie, zaoszczędzając w ten sposób tej niewinnej istotce wielu okrutnych cierpień. On, Troy, chętnie witał łaskawość Opatrzności tam, gdzie chirurg swoim lancetem niczego już nie mógł dokonać.

– Niech wejdą.

Pierwsza weszła Trisha. W jej niebieskich oczach widoczny był radosny uśmiech, kontrastujący z tamtą rozpaczą, którą zapamiętał Troy. Tuż za żoną ukazał się Peter, chudzielec o dziwnie nieskoordynowanych ruchach. Trzymał na ręku dziecko.

Trisha wydawała się czymś zawstydzona.

– Miałam dzisiaj w szpitalu okresowe badania i pomyśleliśmy, że przy okazji odwiedzimy pana. Nigdy nie zapomnimy pana życzliwości, doktorze. Chcieliśmy też pokazać panu naszą córeczkę. Ma na imię Sara. Peter, podaj panu doktorowi nasze maleństwo.

Peter rzucił się ku biurku, zawadził o krzesło, zachwiał się, ale na szczęście utrzymał równowagę. Na pierwszy rzut oka był skończonym niezgrabotą, tym dziwniejsze więc, że trudnił się wyrobem artystycznych drewnianych mebli, które zdobyły już wiele nagród i cieszyły się dużym popytem. Podał doktorowi dziecko, jakby oferował mu kawałek drewna.

Chcąc nie chcąc, Troy wziął od niego maleńki tłumoczek.

Sara, rozbudzona tym podawaniem jej z rąk do rąk, otworzyła ciemne oczęta, ziewnęła i z powrotem zapadła w sen. Miała prześliczne malutkie rączki, które zaciskała w piąstki.

– Jest piękna – szepnął Troy, nieco zawstydzony banalnością swych słów. – Musicie być szczęśliwi.

– Tak – potwierdziła Trisha za siebie i za męża. – Nikt nie zastąpi nam Mandy, ale czujemy, że budzimy się do nowego życia. Prawda, Peter?

Troy pomyślał, że on również przed kilkoma minutami rozważał coś podobnego.

Peter podrapał się po policzku. Utkwił wzrok w blacie biurka.

– Nie owijał pan słów w bawełnę, doktorze – powiedział. – Nie lubię, kiedy ktoś próbuje ukrywać przede mną prawdę. Pan inaczej. Pan powiedział nam prawdę w oczy.

Sara zakwilila przez sen.

– Ucieszyliście mnie swoją wizytą – rzekł Troy. – Dzielę z wami wasze szczęście. Życzę też wam wszystkiego najlepszego na przyszłość. A teraz, Peter, weź ode mnie ten swój skarb, bo jeszcze się przestraszy i zacznie płakać. I usiądźcie, proszę.

– Ma pan dzieci, doktorze?

– Nie – odparł krótko i dość suchym tonem.

I odtąd już nie mógł się skupić na słowach Trishy. A mówiła mu o różnych rzeczach, jak to kobieta, która nie skończy, zanim nie wyrzuci z siebie wszystkiego.

Na koniec dodała:

– Musimy już iść, doktorze. Wiemy, że jest pan zajęty. Mam nadzieję, że podobnie jak do nas, do pana również uśmiechnie się szczęście.

Nie mogła znać kulis jego osobistego życia. Słowa te zatem podyktowała jej intuicja.

– Dziękuję, Trisho. Cieszę się, że wpadliście. Miło też było poznać Sarę.

Kiedy za Winslowami zamknęły się drzwi, Troy głęboko odetchnął. Podszedł do okna i spojrzął na malownicze szczyty łańcucha gór Grouse i Seymour. On i Lucy często szaleli na ich zboczach na nartach. I nagle wszystko się urwało. A przecież Trisha i Peter podźwignęli się po zadanym im ciosie. Mieli dość odwagi, by zdecydować się na jeszcze jedno dziecko, dobrze wiedząc, jak problematyczne i kruche jest szczęście człowieka. Zaczęli wszystko od początku.

Nagle postanowił. Odpowie pozytywnie na otrzymaną ofertę. Weźmie tę pracę i wyniesie się stąd. Na pewno w Phoenix nie będzie mu gorzej niż tutaj, w Vancouver, a może być lepiej, gdyż wokół siebie nie będzie dostrzegał śladów przeszłości. Zrobi nawet więcej. Zacznie zauważać, że istnieją na świecie oprócz Lucy również inne kobiety i znów będzie się z nimi umawiać. Być może ponownie się ożeni.

Lecz żeby wziąć kolejny ślub, musiałby najpierw formalnie rozwieść się z Lucy. Pomysł ten wydał mu się tak śmieszny, że aż absurdalny.

W końcu opuścił gabinet i poszedł na wyznaczone na wpół do piątej zebranie zarządu szpitala. Ma się rozumieć, dyskusję zdominowała sprawa rządowych cięć budżetowych na służbę zdrowia. Wypowiedzi były ostre. Troy w krytyce nie ustępował innym, a nawet użył kilku niecenzuralnych słów. Był wściekły i ani myślał za swoją wściekłość przeproszać.

Zebranie cokolwiek się przeciągnęło. Kiedy więc wrócił do swego gabinetu, zaczął szybko przebierać się w „cywilne” ubranie. Wiążąc krawat przed lustrem, zauważył pierwsze ślady siwizny na skroniach. Ostatecznie miał trzydzieści siedem lat. Dobiegał czterdziestki. Jeżeli chciał zacząć wszystko od początku, musiał się pośpieszyć.

Raz jeszcze przebiegł oczami list. W końcowym zdaniu wyrażano nadzieję, że odpowie na ich propozycję do pierwszego września.

Jutro poprosi Vere, żeby natychmiast wysiała faks. Lecz zanim podejmie ostateczną decyzję, musi wpiery zrobić rozpoznanie terenu. Niebawem rozpoczynał trzytygodniowy

urlop. Dziesięć dni żeglowania ze starym przyjacielem Gavinem będzie mógł bez trudności połączyć z wizytą w Phoenix.

A jeśli już poważnie myśli o nowym początku, to postanowił, że jednak pójdzie na randkę jeszcze dziś wieczór. Umówił się z tą lekarką z okulistyki, która przez pół roku od swojego przybycia tu z Montrealu uczyniła okulistykę jednym z wiodących oddziałów.

Doktor Martine Robichaud była inteligentną i urodziwą kobietą. A także świetną specjalistką. Wszystko też wskazywało na to, że on, Troy, wpadł jej w oko. Miało to być już ich trzecie z kolei spotkanie, przy czym na dwóch poprzednich posunął się jedynie do dotyknięcia jej łokcia czy też ramienia przy podawaniu płaszcza. Być może dzisiaj nastąpi jakaś radykalna zmiana. Najwyższy czas, by zerwać ze wspomnieniami o Lucy. Uwolnić się od kobiety, która nim wzgardziła, i wybrać tę, której sercu był miły.

Przyglądził swoje gęste jasne włosy, chwycił kluczyki od samochodu i szybkim krokiem opuścił gabinet. Po chwili był już na przyszpitalnym parkingu. Umówił się z Martine o siódmej w barze na Robson Street i żeby zdążyć na czas, musiał się pośpieszyć.

Przybył pięć minut przed nią. Kiedy stanęła w drzwiach, wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku, a gwar rozmów wyraźnie przycichł. Troy odczuł niekłamano przyjemność. Ten hołd złożony urodzie Martine bardzo mu pochlebiał. Podniósł się i na powitanie pocałował ją w policzek. Poczul zapach jej odurzających perfum. Płomienisty dotyk.

Przede wszystkim jednak uderzał kontrast jej stroju: prosta lniana sukienka i klasyczna złota biżuteria. Mógł iść o zakład, że dobór ten był starannie przemyślany.

Zamówili martini i pogrążyli się w rozmowie o sprawach profesjonalnych. W jej nienagannym angielskim przebijały ślady francuskiego dziedzictwa. Mówiła interesująco i dowcipnie, jednak oboje wiedzieli, że nie dla takiej rozmowy spotkali się w tym barze.

Przy drugim drinku zdobył się na propozycję:

– A może zmienilibyśmy lokal? Wszyscy mówią z zachwytem o tej knajpie na Granville Island. Co powiesz na pomysł zjedzenia tam kolacji?

– Możemy zjeść ją w moim mieszkaniu.

Patrzyła mu prosto w oczy. Jej słowem nie sposób było odmówić jednoznaczności.

– Lubię takie podejście do sprawy – zauważył.

– Zawsze wiem, czego chcę – odparła.

Spojrzał na swoją ślubną obrączkę, którą wciąż nosił, tyle że nie na lewej dłoni, według kanadyjskiego obyczaju, a na prawej, jakby idąc na kompromis pomiędzy faktycznym rozpadem małżeństwa a jego duchowym trwaniem.

– Formalnie wciąż jestem żonaty – powiedział. – Ale nie żyję z żoną już od roku.

Kiwnęła głową.

– Wiem o tym. Nie przeczę, że kiedy zainteresowałam się tobą, próbowałam dowiedzieć

się o tobie jak najwięcej. Powiedziano mi, że żyjesz w separacji. A zapragnęłam pójść z tobą do łóżka, gdy pewnego dnia w szpitalnej stołówce usłyszałam twój śmiech.

– Czyli po prostu postanowiłaś mnie uwieść – zauważył z rezerwą w głosie.

Odstawiła szklanę.

– Chcę, żebyś dobrze mnie zrozumiał, Troy. Z tego, co usłyszałeś przed chwilą, nie wyciągaj wniosku, że należę do kobiet łatwych i nader swobodnych w tych sprawach.

– Daleki jestem od takiej oceny – zażegnał jej niepokój.

Mówił szczerze. Naprawdę był przekonany, że za jej bezpośredniością nie kryje się żadna rozwiązłość. Wobec powyższego tym bardziej pochlebna wydała mu się jej propozycja. Lucy nie chciała go, ale na szczęście żyły jeszcze na tym świecie kobiety, którym zależało na nim.

Po kwadransie znajdowali się już w mieszkaniu Martine i pili whisky. W rogu salonu na stoliku stały wazonie sztuczne peonie, które od prawdziwych odróżniał jedynie brak zapachu. Troy czuł się trochę jak nastolatek na swojej pierwszej randce. Był skrupowany przede wszystkim pustką swego serca. Fatalnie, jeśli wiedziało się o tym, co za chwilę miało nastąpić.

Martine skierowała rozmowę na współczesną literaturę kanadyjską. Rzuciła kilka nazwisk, opatrując każde zgrabną charakterystyką. Dłużej zatrzymała się nad ulubionymi autorami. Była niewątpliwie osobą odczytaną i kulturalną, ale on nie przyszedł tu przecież dla dysput literackich.

Rozejrzał się po salonie, jego bladoporóżowych ścianach i półkach z książkami.

– Gdzie jest twoja sypialnia? – spytał, rozluźniając krawat.

– Chodź – uśmiechnęła się z wdziękiem.

Wprowadziła go do niewielkiego pokoju z szerokim łóżkiem. Zapaliła stojące po obu stronach wezłowania świece. Odgięła kołdrę.

Wszystko to wygląda, pomyślał, niczym teatralna dekoracja sugerująca, że zaraz nastąpi scena łóżkowa. Zrzucił marynarkę i zaczął z pośpiechem rozpinać guziki koszuli.

Martine mruknęła:

– Przecież mamy przed sobą całą noc. Nie musisz więc aż tak się śpieszyć.

– Odkąd poznałem moją żonę, spałem tylko z nią, a od dnia, w którym odeszła, nie miałem jeszcze zbliżenia z żadną inną kobietą.

– Fakt, że jestem pierwszą, pochlebia mi, Troy.

Ten sztuczny język Martine nie pasował do sytuacji. Ostatecznie chodziło tylko o zaspokojenie zmysłów. Pragnął wydostać się z klatki, w której przebywał tak długo.

Ściągnął koszulę, a Martine natychmiast przyłgnęła do jego obnażonego torsu. Złączyli się w namiętym, zaborczym pocałunku. Poszukał dłonią jej piersi. I tutaj czekała go dziwnie nieprzyjemna niespodzianka. Spodziewał się odnaleźć nabrzmiałą soczystość, ciepłą

miętkość, dojrzałą bujność piersi Lucy, albowiem doznanie takie zakodowane miał w całej swojej istocie. A natrafił na małe i jędrne wżgórki obcej kobiety. Kobiety, która była mu całkiem obojętna.

Szok był tak głęboki, że natychmiast oderwał usta od warg Martine i usiadł na łóżku. Na chwilę jakby zapadł się w siebie. Było mu straszliwie głupio.

– Wybacz, Martine. Zachowuję się jak facet dotknięty nerwicą seksualną, ale chyba nic z tego... Po prostu... nie mogę.

– Widocznie wciąż jesteś zakochany w swojej żonie.

Uniósł głowę i spojrzał na jej pozbawioną wyrazu twarz.

Trudno było odgadnąć, co w tej chwili myśli i czuje Martine.

– Szukam i nie znajduję odpowiedzi. Jeśli faktycznie wciąż ją Kocham, to jestem ostatnim głupcem.

– Jak twoja żona ma na imię?

– Czyżby nie powiedziano ci o niej wszystkiego?

– Nie leży w moim zwyczaju przysłuchiwanie się plotkom. – Poprawiła kilkoma dotknięciami swoje ciemne włosy. – Interesował mnie dotąd jedynie twój stan cywilny.

– Ma na imię Lucy.

– Dlaczego cię opuściła? Zgaduję, że to ona była w tej sprawie stroną aktywną.

– I nie mylisz się – odparł Troy z mimowolną goryczą, po czym sięgnął po koszulę. – Czy moglibyśmy wrócić do salonu?

– Mam lepszą propozycję. Chodźmy do kuchni i zrobmy sobie omlet.

Poczuł do Martine szczerą sympatię. Zaimponowało mu jej opanowanie.

– Nie wydajesz się zaskoczona tym, co się stało.

– Nie. Ale uważałam, że jesteś wart ryzyka.

Wynikało stąd, że wiedziała o nim dostatecznie dużo, by uwzględnić wszystkie jego reakcje. Człowiek nie lubi być aż tak prześwietlony.

– Co cię przygotowało na tego rodzaju ewentualność?

– W zeszłym tygodniu podsłuchałam przypadkowo rozmowę trzech pielęgniarek. Komentowały ogólnie znany fakt, że nie umawiasz się z kobietami. Wy tłumaczyłam to sobie w ten sposób, że mimo separacji nie czujesz się jeszcze wolny.

A zatem został przeniknięty na wskroś. Ta chłodna, inteligentna, zrównoważona kobieta zrobiła mu zdjęcie rentgenowskie duszy.

– Trudno uwierzyć, że wiedząc o mnie tak dużo, zaryzykowałam fiasko na polu, na którym nikt nie lubi doznawać klęsk.

Przez chwilę patrzyła nań w milczeniu.

– Omlet na słodko czy z wędliną?

– Obojętnie, bylebyś tylko nie żałowała jaj. Jestem piekielnie głodny.

Przeszli do kuchni urządzonej wedle najnowszych standardów mody, higieny i praktyczności. Po chwili Martine krajała już wędlinę, Troy zaś cebulę.

W pewnym momencie usłyszał swoje własne słowa:

– Wiesz, dostałem dziś ciekawą ofertę pracy, i to aż z Arizony.

– Doprawdy? Podaj mi kilka szczegółów. – A kiedy to zrobił, zapytała: – I przyjmiesz ją?

– Najpierw pojedę i rozejrzę się na miejscu.

– Umykasz mi, Troy – powiedziała swoim zwykłym, opanowanym, pięknie brzmiącym głosem.

Odłożył nóż, którym krajał cebulę.

– Martine, chciałbym, żeby stało się równie jasne dla ciebie, jak jest jasne dla mnie, że na razie nie palę się do nowych przeżyć miłosnych. Przede wszystkim potrzebuję zmiany, wyrwania się z Vancouver. Chciałbym uciec od pielęgniarek, którym leży na sercu moje życie seksualne, a także od wszystkich innych osób, które znały Lucy i pamiętają, jak bardzo byłem z nią szczęśliwy. Pragnę rozpocząć nowe życie. Ta oferta z Arizony jest dla mnie pewną szansą.

– Wszyscy będą tu za tobą tęsknić – powiedziała Martine, jakby przez ściśnięte gardło.

Nagle poczuł lęk. Czyżby ta bez wątpienia piękna i godna miłości kobieta zakochała się w nim?

– Potęsknią, potencnią i przestaną. Nikt nie jest niezastąpiony.

– Nawet Lucy? – Po raz pierwszy w głosie Martine zabrzmiała emocja.

Zaskoczyło go to pytanie. Popadł w zadumę.

– Bo widzisz, Troy – ciągnęła Martine – najwyższy czas, bym zaczęła myśleć o mężu i dzieciach. Właściwie już zaczęłam myśleć i ruszyłam drogą, którą sobie wybrałam, po kilku jednak krokach stanęłam przed przeszkodą.

Zacisnął zęby. Musiał być twardy. Człowiek niekiedy musi być twardy i okrutny.

– Jesteś wyjątkowo pociągającą i wartą grzechu kobietą, Martine. Nie wyobrażam sobie faceta, który perspektywy ożenienia się z tobą nie przyjąłby jako obietnicy szczęścia.

– Z wyjątkiem ciebie.

– Tak, z wyjątkiem mnie, Martine.

Trzasnęła o blat szafki pojemnikiem z jajami. Polała się gęsta żółta ciecz.

– Za tydzień, za miesiąc, za rok może będę wdzięczna losowi, że nie poszliśmy ze sobą do łóżka i że pewne sprawy zostały wyjaśnione. Ale dzisiaj... dzisiaj nie odnajduję w sobie najmniejszego śladu wdzięczności.

Mimo wszystko brzmiała w tych słowach nuta oskarżenia. On jednak nie poczuwał się do winy. Nie kiwnął palcem, by rozkochać w sobie tę kobietę. I nagle ta błyszcząca czystością kuchnia, ta atmosfera, ni to intymności, ni to niespełnienia, ta rozmowa pełna tłumionego

zawodu, wszystko to zaczęło mu straszliwie ciążyć.

– Martine, dajmy spokój temu omletowi. Podejrzewam, że żadne z nas dwojga nie przełknie teraz ani kęsa. Myślę też, że powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia.

– W porządku! – wykrzyknęła, a jej głos graniczył w tej chwili z histerią. – Możesz się wynosić!

Rozumiał ją, ale w żadnym wypadku nie umiał i nie chciał jej pocieszać.

– Przykro mi, Martine. Jeśli cię zraniłem, to nieumyślnie i wbrew mej woli. Dobranoc.

Włożył marynarkę i wepchnąwszy do kieszeni swój jedwabny krawat, wyszedł na klatkę schodową. Zrezygnował z windy i zbiegł po schodach. Czuł się jak uczeń, którego nauczyciel wypuścił ze szkoły przed zakończeniem zajęć lekcyjnych.

Tego wieczoru uświadomił sobie jedną ważną rzecz. Nie był jeszcze gotów na wikłanie się w jakiegokolwiek romanse.

Wrócił do domu i już na progu stwierdził, że bynajmniej nie jest wolnym człowiekiem. Mimo że ubrania Lucy zniknęły z szafy, mimo że zapach jej perfum już dawno wywietrzał, mimo że ze szczytu schodów wiodących na piętro nie dobiegło go jej powitanie – śladów po niej zostało jeszcze dostatecznie dużo, by wciąż mógł odczuwać jej żywą obecność. Chociażby te muszle, które przywiozła z Wysp Dziewiczych, wysp, na których się poznali, albo te tybetańskie piszczałki, które kupili na bazarze w Indiach. Był okres, kiedy Lucy oszalała zupełnie na punkcie haftowania poduszek – i oto te jej poduszki dostrzegało się nadal na wszystkich niemal krzesłach, fotelach i kanapach. Zaś nad kominkiem w salonie wisiała świetna akwarela, którą jej kupił, ponieważ jego żona zakochała się w tym impresjonistycznym obrazie.

Patrzył na te pamiątki jej dawnej obecności i czuł, że nie chce ani Martine, ani żadnej innej kobiety. Pragnął wyłącznie Lucy. Jej wewnętrzne ciepło i spontaniczne umiłowanie życia, chaotyczność, z jaką urządziła dom, wzruszająca słabość do pewnych kolorów i nietolerancja wobec innych barw – wszystko to teraz rozpamiętywał ze wzruszeniem. Wspomnienia szły fala za falą. Więc znów ją widział na tle błękitnego morza, wpatrzoną w mewę bielejącą w słońcu, z rozrzuconymi przez wiatr długimi brązowymi włosami. Wysoka, bujna, strzelista niczym sekwoja, podniecająca Lucy. Uczyniła go bardziej szczęśliwym, niż w ogóle mógł się spodziewać.

Spojrzał na półkę, gdzie stały rzędem fotografie oprawione w ramki. Lucy roześmiana i strojąca miny. Lucy strzygąca żywopłot. Lucy z plecakiem turystycznym. Lucy – matka.

Michael – ich syn. Urodził się przed dwoma laty, żył siedem miesięcy i zmarł. To jego śmierć spowodowała, że Lucy opuściła ten dom.

Troy patrzył teraz na zdjęcie synka. Jasne loczki, bezzębny uśmiech, puciołowata

twarzyczka. Siedem miesięcy. Króciutkie życie... jak mgnienie.

Odchrząknął, gdyż coś stanęło mu w gardle. Z rękami w kieszeniach spodni podszedł do okna. Na tle rozgwieżdżonego nieba rysowały się ciemne korony drzew. Dom pogrążony był w głuchej ciszy. Z każdego kąta wyzierała pustka.

Troy ugiął się pod brzemieniem samotności. Był sam jak palec, a równocześnie porażony niezdolnością szukania towarzystwa. Został odcięty od źródeł śmiechu, beztroski, seksualnych doznań, ciepła miłości. Od roku żył życiem mnicha.

Ukończył trzydzieści siedem lat.

Pragnął znowu mieć dziecko. Pamiętał, jak cudownie czuł się w roli ojca, i przerażała go myśl o bezdzietności. Miał powołanie do życia rodzinnego i poza rodziną nie widział dla siebie miejsca na świecie. Tymczasem jego rodzina rozpadła się. Synka zabrała śmierć, a żonę wyгнаła rozpacz.

Wydało mu się, że jedna z gwiazd mrugnęła do niego.

Gdyby Lucy wciąż tu była z nim, wåtpliwe, czy poświęciłby tyle uwagi ofercie pracy w Phoenix. Dotychczasowa praca w pełni zaspokajała jego ambicje i doprawdy nie potrzebował szukać lepszej. Lecz jako porzucony mąż, po prostu musiał stąd uciekać. Nie wytrzyma już dłużej w tym pustym domu, gdzie niemal każda rzecz rani mu duszę. A w dodatku przeżywał paraliż woli. Dom powinien być już dawno sprzedany – a nie zrobił tego. Nie mógł też zdecydować się na wzięcie sobie kochanki. Planował różne ruchy i nie zdobył się dotąd na żaden.

Więc miał żyć w celibacie, ponieważ drugiej takiej Lucy próżno by szukać na tym świecie?

Kilka miesięcy temu podczas swojego pobytu w Ottawie odwiedził ją i błagał, żeby wróciła do niego. Odmówiła z pobladłą twarzą, lecz głosem pozbawionym wahania. Skoro tak, to już więcej nie będzie jej prosił. Przenigdy.

A może, drgnęło mu serce, może po prostu wmówił sobie miłość do tej kobiety? Może czepia się czegoś, co jest wyłącznie tworem jego wyobraźni, romantycznym fantazmatem i nie ma zakorzenienia w rzeczywistości?

Przypomniał sobie fragment małżeńskiej przysięgi: „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. To właśnie śmierć ich rozdzieliła. Michael umarł, przeżywszy zaledwie siedem miesięcy.

Troy poczuł się nagle człowiekiem zmęczonym, wypalonym w środku. Minie jakiś czas i jego przyjaciele zaczną się nudzić w jego towarzystwie, a takie kobiety jak Martine zobaczą w nim zasuszonego i pedantycznego starego kawalera, którego najlepiej unikać.

Nagle nawiedziła go całkiem nowa myśl. Pojedzie do Lucy. Rzecz jasna, nie po to, żeby wybłagać jej powrót, tylko żeby postawić ją wobec wyboru. Albo wróci do niego i stanie się znów jego żoną, albo rozwodzą się. Słowem, małżeństwo lub rozwód. Tak lub nie.

Znał rozstrzygnięcie, a przynajmniej mógł je z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć.

Przecież odkąd spakowała walizki po ich ostatniej i najstraszliwszej kłótni małżeńskiej, ani razu nie nawiązała z nim kontaktu. Żadnego telefonu, żadnego listu, nawet kartki z życzeniami na Boże Narodzenie. Byłby naiwnym głupcem, gdyby liczył na to, że nagle rzuci mu się w ramiona i wyzna mu swoją miłość. Przeciwnie, musiał uwzględnić w rachunku, że może nawet nie wpuści go za próg swojego mieszkania.

Jeśli więc usłyszysz od niej stanowcze „nie”, będzie mógł z czystym sumieniem usunąć ją ze swojego serca i umysłu. Był to bowiem niezbędny warunek przystąpienia do budowania nowego życia, w którym będzie miejsce na ciepło i intymność, seks i współodpowiedzialność, niewinną sprzeczkę i snucie planów na przyszłość. W którym też zabrzmią dziecięce głosy.

Ale najpierw musi ją odwiedzić.

Odwrócił się od okna. Pod powiekami miał obraz gwiazd i czarnych pióropuszy sosen i świerków.

Tej nocy Troy spał wyjątkowo głębokim snem, kiedy zaś rankiem otworzył oczy, stwierdził, że nie ma zamiaru wycofać się z powziętej wczoraj decyzji. Zamierzał pogodzić się z życiem, bez względu na to, jaka będzie odpowiedź Lucy. Im prędzej spotka się z nią i dojdą do jakiegoś rozwiązania, tym lepiej. Przyszło mu jednak na myśl, że zanim uda się w podróż, dobrze byłoby upewnić się, czy zostanie Lucy w domu. W tym też celu wykręcił numer swojej teściowej, Evelyn Barnes, która tak jak Lucy mieszkała w Ottawie.

– Mówi Troy. Jak się masz, Evelyn?

– Cudownie, że dzwonisz. – W głosie starszej pani przebijało miłe zaskoczenie. – Uginam się pod nawałem pracy, ale poza tym wszystko w porządku.

Evelyn pracowała jako sądowy patolog. Troy dobrze pamiętał, że o ile swoją córkę, Lucy, traktowała jakby po macoszemu, o tyle za nim wprost przepadała.

– Wiesz, zamierzam przyjechać do Ottawy, żeby zobaczyć się z Lucy.

– Przykro mi, Troy, ale od maja nie ma jej tutaj.

A zatem znalazła sobie innego faceta. Troy poczuł straszliwy ucisk w okolicach serca.

– Przeprowadziła się?

– Pracuje chwilowo na Wschodnim Wybrzeżu.

Rozluźnił się.

– Kiedy wraca?

– Chyba dopiero na początku października.

Dopiero kończył się sierpień. Perspektywa miesięcznej zwłoki była dla Troya nie do przyjęcia.

– Daj mi jej adres. Nie mogę tak długo czekać.

Evelyn tym razem długo milczała.

– Wymusiła ode mnie obietnicę, że nie zdradzę ci miejsca jej pobytu.

– Na miłość boską – wybuchnął – w co ona się bawi? W chowanego?

– Po prostu próbuje dojść ze sobą do ładu, Troy.

– To niech sobie próbuje, ty jednak musisz dać mi jej namiary. Otrzymałem ze Stanów propozycję pracy i przed wyjazdem muszę sprzedać dom. Nie mogę tego zrobić bez skontaktowania się z nią.

– Przefaksuj mi detale, a ja jej wszystko przekażę.

– Dzięki, ale nie pójdę na to. Ona wciąż jest moją żoną, Evelyn!

– Gdyby tak nie nastawała, nie dałabym jej mojego słowa. – Czulo się, że Evelyn jest w wielkiej rozterce.

Zatem chciała za wszelką cenę ukryć się przed nim. Ale nic z tego, Lucy. Tym razem odnajdę cię nawet na końcu świata.

– Jeżeli mam zmienić Kanadę na Stany, jeżeli mam rozwieść się z moją żoną, to muszę najpierw się z nią zobaczyć. Chyba dociera to do ciebie, Evelyn?

– Och, Troy, więc aż do tego doszło?

– Jestem już zmęczony życiem na rozdrożu. Dzisiaj nie można mnie nazwać ani człowiekiem żonatym, ani też kawalerem.

– Rozumiem, że takiego układu nie można tolerować na dłuższą metę. – Krótkie milczenie. – Zadzwoń do Marcii. Ona jest w stałym kontakcie z Lucy... Och, słyszę dzwonek u drzwi. To moi goście. Muszę kończyć, Troy.

Z trzech córek Evelyn, Marcia była najstarsza. Troy prawie jej nie znał, więc wykręcając numer, czuł się po trosze jak intruz.

– Marcia? Mówi Troy. Dzwonię do ciebie w nadziei, że dasz mi adres Lucy. Evelyn ma gości i nie mogła ze mną rozmawiać.

Ty wstrętny kłamco, pomyślał. Ale bywają kłamstwa w zbożnym celu, natychmiast dodał w myślach.

Marcia posiadała jedną niewątpliwą zaletę: inni ludzie doprawdy niewiele ją obchodzili.

– Przebywa na jednej z wysepek u wybrzeży Nowej Szkocji. Zaraz, jak ona się nazywa? Shag Island. W pobliżu Varmouth. Pracuje w hotelu o nazwie Seal Bay Inn. To gdzieś na końcu świata, ale znasz Lucy. Ona zawsze lubiła skakać po antypodach.

Zgadzało się. Lecz gdyby Lucy nie pojawiła się na Wyspach Dziewiczych, to on nigdy by jej nie spotkał.

– Dzięki. Widziałas ją ostatnio?

– Wielkie nieba, nie. Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym wytrzymać na jakiejś cuchnącej rybami łajbie płynącej w kierunku chłostanej wiatrami kamienistej wysepki. Lucy ma wrócić do Ottawy za miesiąc. Wtedy się zobaczymy.

– A co ją tam zagnało?

– Została zwolniona z księgami, gdzie ostatnio pracowała. Jeden z przyjaciół Cat wspomniał jej o znajomym małżeństwie, które potrzebowało kogoś na lato do swego hoteliku.

– Marcia ziewnęła. – Zwariowany pomysł, ale Lucy takie pomysły uwielbia.

Cat była młodszą siostrą Lucy.

– Dzięki, Marcia. Gdyby Lucy zadzwoniła do ciebie, proszę, nie wspominaj jej o naszej rozmowie, dobrze?

– Jak sobie życzysz – odparła obojętnym tonem. – A swoją drogą w ciągu tych dwóch ostatnich lat Lucy zachowuje się w sposób godny ubolewania.

– Straciła dziecko, Marcia.

– Ty również je straciłeś. Ale to ona postawiła pod znakiem zapytania wasze małżeństwo. Po prostu zdezerterowała.

Marcia była wyjątkowo surowa w swych sądach, ale tym razem Troy musiał przyznać jej rację.

– Dziękuję za adres – rzekł lekko zachrypniętym głosem. – I nie pracuj ponad siły. – Odłożył słuchawkę.

Czego się dowiedział prócz adresu? Tego, że Lucy wiosną pracowała w księgami. Ona, która była dyplomowaną masażystką i świetną terapeutką, ona, która tak głęboką miłością darzyła swój zawód. No tak, ale wszystko się zgadzało. Zaraz bowiem po śmierci Michaela zerwała wszelkie kontakty ze swoją klientelą. Jakby jej cudownie sprawne ręce masażystki stały się nagle bezwładne.

Sięgnął po pióro i zanotował w notesie informacje podane mu przez Marcie. Dziś jeszcze poprosi Vere, żeby zarezerwowała mu pokój w Seal Bay Inn pod jakimś fałszywym nazwiskiem. Zanim jednak uda się w podróż na wschód, skontaktuje się z Instytutem Medycznym w Phoenix. Powie im, że potrzebuje trochę więcej czasu na podjęcie decyzji.

Tak czy inaczej, cokolwiek się wydarzy, musi się pogodzić z losem i zacząć życie od nowa.

Rozdział 2

Troy szedł betonowym nabrzeżem, a z jego prawego ramienia zwisała duża torba z płótna żaglowego. Morski wiatr chłostał mu twarz i targał jego gęste włosy. „Morski Wiatr” – tak nazywał się jacht, którym pływał po Morzu Karaibskim w rejonie Wysp Dziewiczych, kiedy po raz pierwszy spotkał Lucy.

Nadepnął na kępkę wyrzuconych przez fale, zeschniętych już wodorostów. Odruchowo spojrzął pod nogi, a zaraz potem na siebie. Wyglądał na typowego turystę. Ale nie był turystą. Przyjechał tu, żeby zobaczyć się z Lucy. Na wysepkę, gdzie jego żona przebywała od początku lata, miała go przerzucić jedna z przycumowanych przy nabrzeżu łodzi.

Z niskiego pokładu motorowej rybackiej łodzi o nazwie „Czterech Serafinów” machnął ku niemu mężczyzna o ogorzalej twarzy. Mógł mieć około czterdziestki.

– Na Shag Island?

– Zgadza się.

– Więc wskakuj pan. Ale żebyś miał pan większą swobodę ruchów, daj pan torbę Gusowi.

Gus, piegowaty wyrostek, wyglądał na maksimum czternaście lat, ale cisnął na fordek ciężką torbę Troya z taką siłą i zręcznością, jakiej nikt by u niego nie podejrzewał. Troy szedł do łodzi po wtopionych w beton metalowych prętach, gdyż nabrzeże było tu wysokie. Łódź rozczarowywała pod każdym względem. Rdza, brud, smród, łatanina. Ale Clarence, jej skiper, miał szeroki uśmiech na twarzy i niebieskie oczy, których szczerłość budziła sympatię. Włączył silnik i cuchnąca rybami łódź odbiła od nabrzeża z wdziękiem i precyzją, które Troy potrafił dostrzec i docenić.

Na pokładzie był jeszcze jeden pasażer – starszy mężczyzna z krótko przystrzyżonymi siwymi włosami. Troy podał mu rękę, przedstawił się i usłyszał, że tamten nazywa się Hubert Woollner.

– Pan również do hotelu Seal Bay Inn?

Spod krzaczastych brwi wybiegło ku niemu spojrzenie badawcze i przenikliwe, niemal drapieżne.

– Na południu wyspy, na którą płyniemy, w pobliżu latarni morskiej mam kawałek ziemi.

– Daj spokój, Hubert – wtrącił się Clarence. – Jesteś wstrętnym feudałem. Posiadasz całą tę cholerną wyspę, od latarni aż do klifów.

– Pilnuj steru, Clarence, a także swego interesu – odparował Hubert, ale bez śladu zajadłości czy gniewu.

Clarence zachichotał.

– Mówisz, żebym pilnował własnego interesu. Otóż ty jesteś moim interesem. Łowią ryby,

które potem sprzedają na twojej wyspie. Ostatecznie mógłbyś zabronić mi tej sprzedaży, a przecież trzeba wyżywić rodzinę.

– Ta rodzina Clarence'a – zwrócił się Hubert do Troya – jest w nazwie łodzi. Oczywiście, poeta wziął tu górę nad realistą.

– Te serafiny to moja połówica i trzy córki – wyjaśnił Clarence. – Nie znaczy to, bym zawsze czuł się jak w raju. Jest pan żonaty, panie Donovan?

– Tak – odparł Troy, przeświadczony, że za chwilę padnie pytanie, czy Lucy Donovan nie jest przypadkiem jego żoną.

Lecz skipera absorbowwała bez reszty własna sytuacja jako męża i ojca.

– Domyśla się pan, co chcę powiedzieć. Są dni, gdy mam ochotę przemianować łajbę na „Czterech Lucyferów”. Sęk w tym, że z takimi demonami człowiek pływałby w ustawicznym lęku. Dlatego łódź nazywa się „Czterech Serafinów” i już chyba tak pozostanie.

Z maestrią splunął ponad burtą do morza, po czym zwiększył obroty silnika. Dziób natychmiast zaczął rozcinać fale, a za rufą spieniło się i zakotłowało. Brzeg, od którego odbili, przesunął się w dal, jakby kontynent gwałtownie zaczął się kurczyć.

Na chwilę Troy zapomniał o Lucy i poddał się czystej przyjemności pokonywania z dużą prędkością morskiej przestrzeni. Nie żeglował już od ponad roku. Ostatnio nawet bywały chwile, kiedy swoją przygodę z morzem uznał za bezpowrotną przeszłość.

– Przyjechał pan dla bekasów? – spytał go w pewnym momencie Hubert.

– Nie rozumiem?

– Więc nie jest pan ornitologiem?

– Zaledwie potrafię odróżnić kaczkę od pelikana – wyjaśnił Troy, przekrzykując ryk silnika. I zaiste, zawsze dotąd wołał podwodny świat ryb, który poznawał podczas nurkowania u wybrzeży Wysp Dziewiczych, od podniebnego świata ptaków.

– A przynajmniej wie pan, co to takiego kormoran?

Słowo to wywołało u Troya pewne skojarzenia.

– Ryba podobna do śledzia? – odparł z nutką niepewności w głosie.

– Oto kormoran – zazgrzytał zębami Hubert, pokazując ręką trochę na prawo od kursu, którym płynęli. – Unosi się tam nad wodą. W szacie godowej na przodzie głowy ma zadarty czubek i dlatego nazywamy go kormoranem czubatym. Gnieździ się koloniami na naszej wyspie, lecz na zimę odlatuje.

Kiedy Troy patrzył na czarnego ptaka, nieco mniejszego od gęsi, dobiegło jego uszu kolejne pytanie:

– Skoro nie ptaki, to w takim razie, co pana tu sprowadza? Troya zaczęła już bawić ta przepytanka.

– Przyjechałem wypocząć w ciszy i spokoju. Pracuję w dużym wielkomiejskim szpitalu,

poczulem się zmęczony i wpadłem na pomysł, że uda mi się zregenerować siły tylko z daleka od utartych szlaków turystycznych.

– Jeśli zamierza pan zabawić u nas przez jakiś czas, to Keith zaopatrzy pana w lornetkę. Keith McManus jest właścicielem hoteliku na wyspie. Jako hotelarz jest szkodnikiem, ale poza tym facet zna i lubi ptaki.

Czuło się, że jest to w ustach siwowłosego mężczyzny bardzo wysoka ocena.

– Czy sam prowadzi interes? – spytał Troy, siląc się na przebiegłość.

– Pomaga mu jego żona, Anna. Poza tym na to lato zatrudnili dziewczynę, a właściwie młodą kobietę. – Drapieżne spojrzenie starszego pana złagodniało. – Prawdziwą piękność.

Łodzią zachybotało, lecz Troy, wytrawny żeglarz, utrzymał równowagę.

– Jak się nazywa?

– Lucy Barnes – odparł Hubert.

Troy o mało co nie wybuchnął gniewnym przekleństwem.

A zatem Lucy wróciła do swego panińskiego nazwiska. Jak gdyby on, Troy, nigdy nie istniał. Jak gdyby za wszelką cenę chciała zapomnieć o ich małżeństwie. Hubert ciągnął dalej:

– Gdybym był o kilkadziesiąt lat młodszy... Zresztą pozna ją pan. Ona i pani Mossop są kucharkami.

Lucy była kucharką również na „Morskim Wietrze”, gdzie się poznali i pokochali.

– Kto zalicza się do stałych mieszkańców wyspy?

– Pani Mossop, która jest wdową, ja, Hubert Woollner oraz Quentin, artysta malarz, którego krytycy okrzyknęli geniuszem pędzla, a który, moim zdaniem, maluje niezrozumiałe bohomyzy.

Na horyzoncie pojawił się skrawek lądu, ograniczony z jednej strony strzelistą wieżą latarni morskiej, z drugiej zaś klifami, które przypominały tępo sklepioną głowę walenia.

Troy nabrał w płuca słonego powietrza.

– Czy to Shag Island?

– Widzi ją pan.

– Sądząc z rozmiarów wyspy, niewiele rodzin na niej mieszka.

– Bo to jest przede wszystkim ptasia wyspa. Na przykład z powodu petreli, takich bardzo ciekawych ptaków, nie pozwalam mieszkańcom na trzymanie kotów, a także na podpływanie do brzegu na silniku. Nie zobaczy pan tu również szopów i lisów. Niestety, człowiek niewiele się różni od tych drapieżników. Mamy zakodowany w sobie instynkt niszczenia i mordy. Dlatego Keith nie ma mojej zgody na rozbudowywanie hotelu.

– Rozumiem, że chciałby się pan ustrzec przed szkodami wyrządzanymi przez turystów. Ale czy to możliwe?

– Jasne, że tak. Jednym z obowiązków Lucy jest mieć na nich oko. Płacę jej za to.

– Widzę, że jest pan kimś w rodzaju dobroczynnego despoty. Hubert drwiąco się uśmiechnął.

– Zapisalem wyspę w testamencie Towarzystwu Ochrony Przyrody. Ale tymczasem muszę sam dbać o petrele i inne ptaki. One liczą się przede wszystkim.

– Słowem, w hierarchii ważności ludzie są na drugim miejscu, za ptakami – rzucił Troy ze świadomą prowokacją.

– Ludzie i ptaki mogą współżyć ze sobą – odparował Hubert z błyskiem w oku. – Żadnej ingerencji w przyrodę. Szacunek dla jej tajemnic. Pewnego dnia zaproszę pana na obiad i na pewno w dłuższej rozmowie dojdziemy do porozumienia.

– Należy pan do ludzi lubiących nawracać innych na swoją wiarę, panie Woolner.

– Proponowałbym, żebyśmy zaczęli mówić sobie po imieniu. Zanim opuścisz wyspę, Troy, będziesz znał wszystkie tutejsze ptaki, od biegusów po zwykłe mewy. A propos, na jak długo przyjechałeś?

– Trudno powiedzieć. Nie mam sprecyzowanych planów.

– W każdym razie jakiś czas tu pobędziesz. Poznasz charakter tej wyspy. Była mi zawsze kochanką. – Podrapał się w ucho, a jego stare oczy rozbłysły filuternym uśmiechem. – Na dłuższą metę mniej kłopotliwą od zwykłej kobiety.

Zamilkli. Wyspa zbliżała się. Pojawiły się skały pokryte morskoczymem, skupiska powykręcanych od wiatru świerków, kobierce łąk usianych polnymi kwiatami. Ta dawna Lucy, w której on, Troy, niegdyś się zakochał, musiała czuć się tu jak u siebie w domu.

Poczuł przyływ osobliwego podniecenia. Zadał sobie pytanie, czy podczas tego lata spędzonego na tej dzikiej i pięknej wyspie Lucy odnalazła siebie... stając się dawną Lucy, istotą namiętną i życzliwie nastawioną do świata, istotą, która pięć lat temu tak gruntownie przeobraziła jego życie. A może – zakładał i taką możliwość – powita go z otwartymi ramionami?

Clarence zgasił silnik i podszedł siłą rozpędu do dużej różowej boi, która podskakiwała na falach niczym plażowa piłka. Od drewnianego moła na wprost odbiła na czerwono pomalowana łódź, kierując się ku ich rybackiej łajbie. Siedzący w niej mężczyzna pokonywał dzielącą ich przestrzeń długimi pociągnięciami wiosła.

– To Keith – powiedział Hubert do Troya. – Przekroczysz próg hotelu dokładnie w porze obiadowej.

Niebawem obaj pasażerowie znaleźli się na łódce Keitha. Hubert dokonał prezentacji. Keith okazał się najwspanialszym rudzielcem, jakiego Troy kiedykolwiek widział. Jego piracka broda i poskręcane włosy dosłownie płonęły. A wśród tego morza ognia błyszcząły orzechowe oczy. Zaskakiwała ich nieśmiałość, a nawet wręcz płochliwość. Hotelarz wybąkał swoje imię i widać było, że żadna siła nie zmusi go do sformułowania dłuższego zdania.

Kiedy przybili do brzegu, Hubert pożegnał się, po czym pomaszerował z plecakiem w głąb lądu – człowiek już w latach, ale wciąż pełen energii, której mógłby pozazdrościć mu niejeden młodziak.

– Tędy, proszę – powiedział Keith i ruszył piaszczystą ścieżką wśród drzew, nie oglądając się, czy Troy idzie za nim.

Pachniało igliwiami i mchem. Troy rozkoszował się tym zapachem, a jego podniecenie rosło. Niebawem miał zobaczyć Lucy.

Wciśnięty w wąską i zaciszną nieckę hotel okazał się jednopiętrowym budynkiem z cedrowego drewna. Jego liczne duże frontowe okna wychodziły na otwarte morze. Długi i szeroki taras wypełniony był krzesłami, leżakami i kwiatami w doniczkach.

– Kto wybudował to чудо, Keith? – zapytał Troy.

– Ja.

– Odwaliłeś kawał dobrej roboty.

Keith skwitował komplement milczeniem. W ogóle zdawał się nie przywiązywać większego znaczenia do kontaktu poprzez rozmowę.

Przez oszklone drzwi weszli do obszernego holu, całego w sosnowym drewnie. Morze i niebo stanowiły integralną część tego pomieszczenia, podobnie jak wygodne sofy i półki z książkami. Na środku stał duży stół na kilkanaście osób, przygotowany już do obiadu. Gdzieś w korytarzu obok rozległy się kroki. Troy poczuł, że serce skacze mu do gardła. Lucy. To mogła być Lucy.

Ale kobieta, która po chwili weszła do holu, w niczym jej nie przypominała. Po pierwsze była co najmniej w ósmym miesiącu ciąży, a po drugie miała proste ciemne włosy, podobne do włosów Martine. Nosila je zebrane z tyłu w koński ogon. Miła twarz bez odrobiny makijażu.

– Witam w gronie naszych gości, panie Daniels – powiedziała, uśmiechając się z serdecznością i ciepłem.

Troy zaczerwienił się, przypominając sobie, że kazał zarezerwować pokój na fałszywe nazwisko, żeby nie uprzedzać Lucy o swoim przybyciu.

– Zaszła pewna zmiana. Mój przyjaciel Daniels nie mógł przyjechać... w ostatniej chwili coś mu wypadło. Skorzystałem z nadarzającej się okazji i w jakimś sensie zastępuję go. Nazywam się Donovan.

– Zmiana ta nie stanowi żadnego problemu. – Wyciągnęła rękę. – Jestem Anna McManus. Cieszę się, że mogę powitać pana na Shag Island.

Jej uśmiechnięta twarz promieniała i było oczywiste, że jest nieświadoma jego oszustwa, wobec czego Troy poczuł się jeszcze bardziej paskudnie.

W tym też nastroju poszedł za Anną na górę. Zaprowadziła go do jego pokoju, który w pełni zaakceptował.

– Obiad za pół godziny – powiedziała na odchodnym. – Sygnałem będzie dzwonek. Życzę więc miłego u nas pobytu i proszę zwracać się do nas o wszystko, co mogłoby uprzyjemnić panu odpoczynek.

Spraw, ażeby moja żona wróciła do mnie, to wszystko, czego mogę pragnąć, pomyślał Troy, zamykając drzwi za Anną McManus. Żywił dotąd nadzieję, że spotka się z Lucy bez świadków. Teraz miał pewność, że Lucy zobaczy go na ogólnej sali, pośród innych gości. Z pewnością też jakoś zareaguje. Jej twarz powie mu wszystko, co powinien wiedzieć. Musi tylko uważnie ją obserwować.

Ale pół godziny później, gdy wszyscy stołownicy zgromadzili się już na dole, z kuchni wyszła kobieta pulchna i w średnim wieku; jej policzki płonęły z gorąca. Niosła przed sobą brzuchatą wazę z parującą zupą. To musi być pani Mossop, pomyślał Troy, po czym wrócił do rozmowy z sąsiadami przy stole. Razem z nim zjawilo się na obiedzie pięć osób, rozmowę zaś bardzo szybko zdominował temat ptaków. Troy, nie mając w tej kwestii wiele do powiedzenia, niebawem pograżył się w milczeniu. Przez chwilę dręczyła go myśl, czy czasami Lucy nie opuściła już wyspy. Ale nie, ze słów Huberta wynikało, że nadal tu pracuje. Zatem musiała być w kuchni, niejako poza sceną.

A jednak kiedy jeden z gości pochwalił potrawy, pani Mossop odparła, że pochwały należą się Annie.

– Lucy ma dzisiaj wychodne – dodała. – Zobaczycie ją dopiero jutro rano, chociaż zapewniam was, że obojętnie kiedy wróci, zdąży wam jeszcze upiec jagodzianki na śniadanie. Wybrała się bowiem na jagody.

Troy cokolwiek się odprężył. Jednak osiągnął cel. Odnalazł Lucy i dopóki się nie rozmówią, nie pozwoli jej umknąć.

Ale czekanie do jutra równało się wieczności. Toteż po obiedzie Troy wybrał się na spacer. Liczył na to, że może przypadkiem natknie się na Lucy. Krążył po okolicy aż do zmierzchu. A kiedy wrócił do hotelu, wyszedł na taras i zapatrzył się na gasnące błyski zachodzącego słońca.

Pojawiły się gwiazdy, miliardy gwiazd, które następnie utworzyły szeroki pas Drogi Mlecznej. Niewyobrażalna dal poraziła go swoją tajemnicą.. Poczul się bezradny i samotny.

W oddali zahukała sowa. Błady księżyc powoli piął się na szczyt nieba. Fale uderzały o przybrzeżne skały. I nagle w tej ciszy i w tym szumie rozległ się głos, o którym on, Troy, marzył od wielu miesięcy. Głos Lucy. Czysty i jasny głos ukochanej kobiety.

– Serdeczne dzięki, Quentin. Spędziłam w twoim towarzystwie uroczy dzień. Zrewanżuję się jagodziankami.

Troy wbił oczy w ciemność i wreszcie dojrzał to, czego szukał. Dwie postacie. Stały obok drewnianej, typowo wiejskiej chatki, oddalonej od hotelu dwadzieścia, trzydzieści metrów.

– Odprowadzam cię skandalicznie późno, a przecież wstajesz jutro skoro świt.

- Nie szkodzi. Ten dzień mógłby dla mnie ciągnąć się bez końca.
- Wpadnę rankiem po jagodzianki.
- Dostaniesz jeszcze ciepłe.

Wyższa z postaci, a był to zapewne ów Quentin od bohomazów, o którym napomknął mu Hubert, pochyliła się i Troy był świadkiem, jak obcy facet całuje jego żonę. Zacisnął kurczowo dłonie, jakby gotował się do walki na pięści. Krew szumiała mu w uszach, więc nie dosłyszał słów Quentina, które potem padły. Lucy odpowiedziała perlistym śmiechem, po czym otworzyła drzwi i weszła do chatki. Quentin zniknął na ścieżce wśród drzew. W oknie od frontu zapaliło się chybottliwe światło. Widocznie nie było tam elektryczności i Lucy używała świec.

Troy gwałtownie poderwał się z krzesła. Podczas długiego lotu z Vancouver rozważał różne warianty spotkania, lecz żaden z nich nie uwzględniał drugiego mężczyzny. Sytuacja, jaką zastał, całkowicie wyprowadziła go z równowagi.

Chwycił jedną ręką za poręcz i przesadził barierkę tarasu. Szybkim krokiem poszedł przez trawnik ku chatce. Zapukał.

– Proszę wejść – odpowiedział mu kobiecy głos, po czym drzwi otworzyły się i stanęła w nich Lucy. – Czyżbyś zapomniał o... ?

Urwała. Źródło światła miała za plecami, więc Troy nie widział jej twarzy. Domyślał się jednak jej zaskoczenia i zdumienia. Właściwie mogła nawet pomyśleć, że stoi przed nią nie jej mąż, lecz widmo Troya.

Bez słowa wszedł do środka. Niewielką izbę oświetlały dwie lampy naftowe – jedna stała przy łóżku, druga zaś na stole. Odwrócił się.

– Przytulne gniazdko. Czy ten pacykarz dobrze się w nim czuje?

– Troy! Co ty tu robisz? – Podeszła doń z pobladłą twarzą i chwyciła za ramię. – Mama... czy wszystko z nią w porządku?

– Z twoją mamą tak, ale nasze małżeństwo to jeden wielki nieporządek.

– Bo w pierwszej chwili pomyślałam...

Spojrzał na jej dłoń, która wciąż zaciskała się na jego ramieniu. Nie dostrzegł obrączki. Tego już było za wiele.

– Gdzie twoja obrączka?! – ryknął. – I twój pierścionek zaręczynowy?!

Wzdrygnęła się i cofnęła rękę.

– Wiedząc, że będę tu kucharką, pierścionek zostawiłam w Ottawie. Po prostu jest zbyt kosztowny, żeby zagniatać w nim ciasto. – W jej dużych szarych oczach pojawił się bunt. – A obrączkę zdjęłam, zanim weszłam do łodzi, którą tu przyplłynęłam.

– Wróciłaś również do panińskiego nazwiska. Czy nazwisko Donovan przestało ci się podobać?

Spojrzenie Lucy stało się podejrzliwe. Zignorowała jego pytanie.

– O ile się nie myłę, to pan Daniels zapowiedział na dzisiaj swój przyjazd?

– Przyznaję, zarezerwowałem pokój na fałszywe nazwisko. Stali tak blisko siebie, że poczuł jej zapach. To wystarczyło, żeby zapłonął pożądaniem. Patrzył na nią i widział przepiękną kobietę: opaloną na złoty brąz, o cudownych piersiach i mahoniowych włosach sięgających połowy pleców. Przed pięciu miesiącami, kiedy spotkali się w Ottawie, Lucy była chudym i wymizerowanym stworzeniem, zmiana na korzyść była więc ogromna.

Wziął ją w ramiona i, zaskoczona, zaczął obsypywać pocałunkami. Całował jej miękkie pachnące włosy, pulsującą żyłkę na jej pięknej szyi, gorące półotwarte usta, zimne i nieskazitelnie gładkie czoło. Znał ją w tym samym stopniu, w jakim znał samego siebie. Była jego. Nie odda jej nikomu.

– Lucy – wyszeptał chrapliwie. – Lucy, tak bardzo cię kocham... tak bardzo!

Wyznanie to nie leżało w planach, jakie sobie nakreślił. Łamał zresztą wszystkie powzięte uprzednio postanowienia. Lucy szarpnęła się do tyłu i uwolniła z jego ramion.

– Troy, albo natychmiast opuścisz ten dom, albo zacznę krzyczeć.

Wyraz jej twarzy potwierdzał, że zdolna byłaby posunąć się do czegoś takiego.

Troy poczuł, że traci grunt pod nogami.

– Przecież to niemożliwe, żebyś przestała mnie kochać. Chciałaś tylko odpocząć ode mnie i pozbyć się balastu tamtych złych wspomnień. Powiedz, że nie chcesz mnie opuścić!

– Nie chcę wracać do domu! – wykrzyknęła głosem nabrzmiałym autentycznym bólem. – Nie zniósłabym tego powrotu! Ten dom zabiłby mnie!

– Wyrażaj się jaśniej – wychrypiał. – Czego się lękasz? Domu czy mnie?

W ciągu pierwszych kilku dni po śmierci ich synka Lucy nie uroniła ani jednej łzy. Oszołomiona, blada jak opłatek, błąkała się po domu niczym potępiona dusza. A potem jeden z sąsiadów, który powrócił z dłuższego pobytu za granicą i nie słyszał o ich tragedii, zapytał ją o Michaela. Pytanie to podziało jak kula, która trafia w samo serce. Lucy w jednej chwili jakby rozpadła się na kawałki. Jej płacz przechodził w histerię, histeria w otępienie i na odwrót. On, Troy, robił wszystko, żeby ją uspokoić, ale sam był człowiekiem zranionym i jego próby spełzły na niczym. Najgorszy jednak w tym wszystkim był jej stanowczy sprzeciw wobec współżycia małżeńskiego, jej odrzucenie i wyrzeczenie się tej intymności, która ich dotąd tak silnie wiązała. Próbował ją zrozumieć i trzymał swoje zmysły na wodzy. Wytrwał zdumiewająco długo, ale w końcu zwrócił się do niej po pociechę, rozpaczliwie pragnąc fizycznej bliskości. Niestety, odtrąciła go.

Bała się, że znowu zajdzie w ciążę. Nie zniósłaby ponownego macierzyństwa. Miało to sens i Troy uwierzył jej. A jednak, kiedy mijały dni i tygodnie, – ona zaś wciąż nie dopuszczała go do siebie, Troy zaczął wątpić we wszystko, co ich dotąd łączyło. Kobieta, która była jego żoną,

a więc osobą z definicji mu najbliższą, stała się nagle daleka, niezrozumiała i nieznana. Zmieniła się w kogoś obcego.

Aż potrząsnął głową, żeby uwolnić się od tych przykrych wspomnień. Spojrzał na Lucy. Było w jego twarzy chyba coś strasznego, ponieważ cofnęła się o krok.

– Wyjechałam, gdyż przestaliśmy ofiarowywać sobie dobro i jedno było dla drugiego tylko źródłem cierpień.

Uśmiechnął się z bolesną ironią.

– Stchórzyłaś. Oto najbardziej odpowiednie słowo.

Lucy buntowniczo uniosła głowę.

– A może po prostu wiem, kiedy trzeba odejść.

Nagle ogarnęło go poczucie klęski. Jego naiwne przeświadczenie, że jest na prostej drodze ku wyleczeniu się z miłości do Lucy, okazało się wyłącznie pobożnym życzeniem. Przeciwnie, teraz jeszcze bardziej ją kochał. Zahipnotyzowała go swoją urodą i osobowością. Jej cielesna i jednocześnie duchowa obecność przesłoniła mu cały horyzont. Uświadomił sobie, że chyba już nigdy się od niej nie uwolni. Usłyszał jej głos:

– Troy, czy moglibyśmy wziąć się w garść i zacząć tę rozmowę niejako od początku? – Odchrząknęła i przełknęła ślinę. – Przede wszystkim powiedz mi, dlaczego jesteś taki wściekły?

O mało nie wybuchnął śmiechem. Jakże miał nie być wściekły, skoro na jego oczach całowała się z innym mężczyzną, a jego, swojego męża, odepchnęła?

– Więc, jak ty to sobie wyobrażasz? Mam skakać z radości, mimo że jakiemuś obcemu facetowi obiecujesz jagodzianki, a wobec mnie przez całe miesiące nie zdobyłaś się choćby na taką uprzejmość, żeby zadzwonić i powiedzieć mi kilka słów o sobie?

– Żyjemy w separacji – powiedziała, wpychając ręce do kieszeni błękitnych szortów.

Patrzył na jej twarz, którą, zdawało się, tak dobrze znał. Miała rozkosznie zaczerwienione policzki i piękną linię nosa. Wyraziście zarysowane łuki brwi przypominały krucze skrzydła. Oczy zaś, jej piękne oczy, były co chwila inne. W tej chwili szare, ale w każdym momencie mogły nagle przybrać odcień błękitu, a nawet granatu.

– Separacja, jak widzę, świetnie ci służy. Wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek od śmierci Michaela.

– ' Przestań! – wykrzyknęła zdławionym głosem. Ale w nim narosło już za dużo bólu i pożądania.

– A niby czego to mam zaniechać? – wybuchnął. – Wymieniania imienia naszego synka? Mam zacząć udawać, że nigdy nie istniał? Przecież oboje wiemy, że to jego śmierć stała się powodem rozpadu naszego małżeństwa. Więc mam postępować wedle zasady, że nie mówi się o sznurze w domu powieszzonego? Mam chować głowę w piasek? Ani myślę. Są sprawy, z

którymi musimy się zmierzyć.

– Próbuję zapomnieć o tym, co się stało.

– Zapomnieć o Michaelu?

– Próbuję pogodzić się z jego śmiercią, nauczyć się żyć bez niego.

– Bez niego, ale z Quentinem? – Boże, nigdy dotąd nie podejrzewał siebie o taką małoduszność. – Gratuluję sukcesów na tym polu. Przyznaję, rozsądnie było pozbyć się obrączki.

– Troy, daruj sobie te oskarżenia. Żeby oskarżać, trzeba mieć do tego moralne prawo.

– Tak się składa, że wciąż jestem twoim mężem. A może już i o tym zdążyłaś zapomnieć?

– Powiedz lepiej, po co tu przyjechałeś?

– Przyjechałem, żeby postawić cię przed wyborem. Albo będziemy żyli ze sobą jak mąż i żona, albo żądam rozwodu.

Zachwiała się, niczym sosna, którą targnął wicher. Patrzyła na Troya rozszerzonymi oczami, z których jednak niczego nie mógł wyczytać.

– To brzmi jak ultimatum.

– Mniejsza o słowa. Zakładam, że chwytasz istotę rzeczy. Od wielu miesięcy żyję na rozdrożu. Nie jestem ani człowiekiem żonatym, ani kawalerem czy wdowcem, który zawsze posiada możliwość wolnego wyboru.

– Wyboru innej kobiety, to chyba chciałeś powiedzieć. Cóż, seks to potęga.

– Nie sprowadzaj wszystkiego do seksu. Potrzebuję intymności, bliższych kontaktów duchowych, rodzinnej atmosfery w domu. Potrzebuję dokładnie tego, co miałem, zanim dotknęło nas nieszczęście. Wierzę, że gdybyś wyrzekła się tego swojego kultu dla separacji, moglibyśmy wspólnymi siłami wskrzesić tamte dni. Lecz jeśli trwasz w postanowieniu...

– Nie mogę, Troy! To przekracza moje siły.

To był krzyk zranionego serca.

– Nie sposób wечно ukrywać się i uciekać. Nigdy nie bałaś się wyzwiań rzuconych przez życie. Kiedy poznałem cię, pierwsze, co zaimponowało mi, to twoja odwaga.

– Mówisz o dawnych czasach, Troy. Już nie jestem tą samą osobą, co wtedy na Wyspach Dziewiczych. Zmieniłam się i musisz się z tym pogodzić.

– Ani myślę godzić się z czymś, co uważam za zło. Kocham cię, Lucy. Oto dlaczego tu przyjechałem.

– Masz usta pełne słów o miłości. Miłość nie jest odtrutką na każdą truciznę.

Zacisnęła zęby.

– A więc twoja odpowiedź brzmi: rozwód?

Żachnęła się.

– Troy, co ty w ogóle sobie myślisz! W ciągu kilkunastu ostatnich miesięcy widzieliśmy się

zaledwie raz, dzisiaj zjawiasz się niczym nocna mara, bez uprzedzenia, ale za to z żądaniem, żebym podjęła tak ważną decyzję natychmiast, bo tak ci wygodnie. Doprawdy, nie brak ci tupetu, Troy.

– W takim razie powiedz mi, ile czasu ci trzeba na danie mi odpowiedzi?

– Skąd mam to wiedzieć? – Rozłożyła ręce.

– Nie można zarazem zjeść ciastka i nadal go mieć – powiedział z mieszaniną gniewu i irytacji. – Trzymać mnie na postronku i równocześnie żyć sobie wedle własnego widzimisię. To nie jest w porządku, Lucy!

– Jest jedenasta w nocy. Nie oczekuj, że dam ci dzisiaj odpowiedź stanowiącą o całym moim życiu. Lepiej wracaj do domu pierwszym samolotem. Napiszę do ciebie. Masz na to moje słowo.

– Quentinowi też coś obiecałaś, zdaje się, jagodzianki – rzekł ze zjadliwością, którą, wiedział to, mógł sobie darować.

– Wynoś się stąd natychmiast! – wykrzyknęła na granicy hysterii. – Rozwód z tobą naprawdę może wydać mi się po czymś takim najbardziej sensownym rozwiązaniem. Powiedziałam, że napiszę, więc napiszę.

Skoczyła ku drzwiom i otworzyła je na oścież, zarazem usuwając się z przejścia. Trzeba było zabierać się stąd; nie miał tu już nic więcej do roboty.

– Więc przemyśl jutro wszystko na spokojnie, na przykład podczas zagniatania ciasta na te jagodzianki. I nie chowaj głowy pod poduszkę, jak dziecko, które boi się ciemności. Nie lękaj się zmierzyć z rzeczywistością. Straciliśmy Michaela, ale życie to łańcuch radości i trosk, dramatów i szczęśliwych zdarzeń. – Wyciągnął rękę i pogładził ją po policzku. – Dobranoc.

I tak ją zostawił. Z wyrazem zmieszania, jeśli nie zawstydzienia, wypisanym na twarzy. To małe zwycięstwo było mu zresztą bardzo potrzebne. Łagodziło bowiem choć trochę ból, który przesywał mu serce.

Rozdział 3

Kiedy zadzwonił dzwonek na śniadanie, Troy właśnie kończył się golić. Raz jeszcze rzucił okiem w lustro i dostrzegł na brodzie małe skaleczenie. Pomyślał, że nic nie szkodzi. Twarz człowieka, który w ciągu doby spał zaledwie trzy godziny, i tak wygląda jak pokiereszowana. A nawet nie trzy godziny. Takie stwierdzenie stanowiło lekką przesadę. Zasypiał bowiem i budził się, dręczony przez senne koszmary i własną pożądlivość. Parę kroków dalej, w swoim domku, spała Lucy i świadomość tego była dla niego wręcz torturą. Kochał ją sercem, duszą i lędźwiami. I tak już, stwierdził w myślach ponuro, zostanie chyba na zawsze.

Teraz powinien zejść na śniadanie. I co dalej? Oczywiście może pójść za jej radą i wrócić do Vancouver pierwszym samolotem. A potem przyjąć tę pracę w Arizonie. Jeżeli Lucy wróci do niego, mogą żyć równie dobrze w Kanadzie, jak i w Stanach. Z Lucy mógłby żyć nawet na krze lodowej.

Lękała się miłości. Ofiar, jakie z miłością się łączą, i w ogóle wszelkich innych konsekwencji stanu zakochania. Nienawidziła też brawury, z którą on, Troy, podchodził do życia.

Przycesał włosy i włożył rozpinany sweter. Zszedł na dół, siadając przy stole jako ostatni. Wszyscy inni goście, a byli to bez wyjątku sami miłośnicy ptaków, zerwali się z łóżek o bladym świetle, by jeszcze przed śniadaniem ustrzelić aparatem fotograficznym jakiegoś upierzonego dwunoga. Dyskutowali teraz o kalendarzach godów, okresach wylęgów i trasach przelotów. Nie mając w tych sprawach nic do powiedzenia, Troy wypił kilka łyków soku pomarańczowego i sięgnął po naleśnik.

– Może kawy?

Nie udało mu się zapanować nad nerwami. Jego widelec znalazł się na podłodze. Nachylił się, by go podnieść, i nie patrząc na Lucy, odparł:

– Z wielką chęcią.

Była ubrana w kwiecistą spódnice i białą bluzkę. Wyglądała zimno i nieprzystępnie.

Opanowała go dziwna chęć zemsty.

– Lucy – powiedział podniesionym głosem – nie pocałowałaś mnie jeszcze na dzień dobry.

Zaległa śmiertelna cisza i spojrzenia wszystkich siedzących przy stole skierowały się w jego stronę. I bynajmniej nie były to spojrzenia przyjazne.

– Zechce pan może wytłumaczyć nam, dlaczego miałyby to zrobić? – zapytał chudy i łysy osobnik w okularach.

– Ponieważ jest moją żoną – oświadczył Troy z uprzejmym uśmiechem na twarzy, święcie przekonany, że za sekundę jego kochana małżonka roztrzaska mu na głowie dzbanek z gorącą

kawą, który trzymała w dłoniach.

Ona jednak tylko cicho jęknęła i dumnie unosząc głowę, powiodła spojrzeniem po siedzących przy stole życzliwych jej osobach.

– Żyjemy w separacji i zamierzamy wziąć rozwód – oznajmiła zdumionym ornitologom.

Troy odepchnął krzesło i poderwał się na nogi.

– Więc taka jest twoja ostateczna decyzja?

Jej oczy gorzały niczym dwie pochodnie.

– Tak.

– W takim razie pozwolisz, że zabawię tu kilka dni. Bo jeśli zamierzasz rozwieść się ze mną, to oczywiście mnie nie kochasz. Moja tu obecność nie powinna więc ani cię grać, ani ziębić.

– Przestań brykać, Troy, i wracaj do Vancouver.

– Chyba nic z tego nie będzie. Bo mimo że chcesz rozwodu, nadal jesteś mi bliska, moja kochana Lucy – powiedział zimno i uśmiechnął się.

– Och! – jęknęła i wybiegła na dwór.

Tymczasem Troy spokojnie usiadł przy stole z niewinnym uśmiechem na twarzy i biorąc do rąk sztucę, powiedział:

– Te naleśniki są naprawdę pyszne. Czyż można się dziwić, że poślubiłem tę kobietę?

Z końca stołu dał się słyszeć przytłumiony głos tęgiego brodacza:

– Neville, jesteś pewien, że na tym świerku to była muchołówka?

– Słyszałem ją – krótko odparł Neville, wierny regułom zwięzłości.

– Jest ich więcej w pobliżu latarni morskiej.

– Tam właśnie widziałem dzierzbę białoczelną, bardzo rzadko spotykaną na naszym kontynencie – dorzucił ten łysy w okularach.

Podczas gdy oni mówili o ptakach, Troy pochłaniał naleśniki. Decyzja, że tego ranka odwiedzi Huberta, już zapadła. Ostatecznie jeśli zamierzał tu zostać, musiał wiedzieć, co też oznacza tajemnicza zbitka dźwięków „dzierzba białoczelna”.

Dzisiaj zostawi Lucy samą sobie. Bądź co bądź dostarczył jej materiału do długich przemyśleń.

Wyszedł z kubkiem kawy na taras. Stado kaczek przeszukiwało płaskimi dziobami morskie wodorosty. Z pobliskich drzew i krzewów dobiegały ćwierkania, świergoty i szczebioty. Chwilami wszystko milkło i tylko słycać było szum oceanu. Ranek był cichy i jasny. Stopniowo i Troy odzyskiwał jasność myślenia. Cała ta utarczka z Lucy podczas śniadania sprawiła mu dziwną przyjemność, a jednak nie mógł pogratulować sobie rozwagi i mądrości. Co chciał osiągnąć takim zachowaniem? Pchnąć Lucy na ścieżkę rozwodu?

Promienie porannego słońca tańczyły na rozkołysanej wodzie. Walczę o życie, pomyślał

Troy. Oto dlaczego tu przyjechałem. Każda walka, o ile jej celem jest zwycięstwo, wymaga zaangażowania również władz umysłowych. Muszę więc stłumić uczucia i zacząć używać rozumu. Inaczej wszystko zaprzepaszczę.

Na ścieżce wiodącej od plaży pojawił się ośmioletni, może dziewięcioletni chłopiec. Miał zawieszoną na szyi lornetkę, zaś w brązowych włosach mnóstwo sosnowych i świerkowych igieł. Wystające z nogawek szortów chude nożyny nosiły ślady licznych zadrapań i obtarć. Zobaczywszy Troya, podszedł do barierki tarasu.

– Widziałeś ją? Gajówkę pokrzewkę? – zagadnął z podnieceniem w głosie.

– Nie – odparł Troy. – Niewiele wiem o ptakach.

– To, co tu robisz?

– Przyjechałem zobaczyć się z Lucy. Jest moją żoną.

– Tak? – Orzechowe oczy chłopca wyrażały nieufność. – Nigdy nie mówiła nam o tobie.

Troy zasępił się. Było coś dziwnego w fakcie, że wtajemniczał dziecko, zresztą dopiero co poznane, w swoje prywatne sprawy. Skoro już jednak zaczął, musiał rzecz doprowadzić do końca. Przede wszystkim zaś żadnych krętałów. Wymogiem chwili była szczerłość.

– Od ponad roku nie żyjemy ze sobą. Ale wciąż jesteśmy małżeństwem.

– Pokłóciliście się?

– Tak, i to bardzo.

– Kiedy pokłócę się z mamą, zaraz słyszę od niej, że powinniśmy pogodzić się przed zachodem słońca.

– Twoja mama to Anna McManus, prawda?

– Jasne. – Twarz chłopca wykrzywił nieprzyjemny grymas. – Będzie miała nowe dziecko.

– Wiem o tym. I co ty na to?

– Bachory płaczą w dzień i w nocy. Lucy też tego nie lubi. Kiedy przyjechała tu i zobaczyła, że moja mama spodziewa się dziecka, o mało nie wróciła do domu.

Ostatecznie jednak została, pomyślał Troy. Fakt ten budził pewne nadzieje.

– Mam na imię Troy – powiedział, wyciągając rękę.

– A ja Stephen. – Brudna dłoń chłopca zginęła w dłoni Troya. – Tylko nie mów do mnie Steve. Nie cierpię zdrobnień.

– Zapamiętam to sobie. A może zechciałbyś pokazać mi ptaki, co, Stephen?

– Jasne! Lecz najpierw muszę zjeść śniadanie. Uwinę się w dziesięć minut.

Powiedziawszy to, chłopiec pobiegł ku drzwiom frontowym. Troy został sam wraz ze swoim wzruszeniem. Rozmawiając ze Stephenem, myślał o Michaelu. Życie jego synka było bardzo krótkie. On, Troy, nigdy się nie dowie, jak wyglądałby Michael, gdyby osiągnął wiek tego chudziaczka o orzechowych oczach.

Syn McManusów musiał zjeść śniadanie w rekordowym tempie, gdyż pojawił się już po

ośmiu minutach. Niósł teraz dwie lornetki oraz atlas ptaków.

- Może zawadzimy najpierw o Huberta? – zaproponował. – Znasz go?
- Poznałem go na łodzi, którą tu przy płynąłem.
- Hubert wie wszystko o wszystkich ptakach. Na pewno nam się przyda.
- Więc w drogę.

Wyruszyli i już niebawem Troy się przekonał, że kto chce się oddawać pasji podglądania ptaków, musi poruszać się w ślimaczym tempie. Co kilka, kilkanaście metrów chłopiec przystawał, pokazywał palcem na drzewo, krzew lub kępkę traw, Troy kierował tam lornetkę, szukał wśród liściastej lub iglastej gęstwiny, natrafiał na jakieś żółte, czarne lub pstrokate cudeńko i słyszał szeptem wypowiedzianą nazwę ptaka, pełną teraz konkretnej treści. Tak doszli do domu Huberta.

Stary człowiek musiał chyba dostrzec ich przez okno, gdyż wyszedł na ganek, zanim zapukali.

- Przyprowaździłem Troya – oznajmił chłopiec. – Jest mężem Lucy.

Uśmiech znikł z twarzy Huberta.

- Czy to prawda? – warknął.

Troy potwierdził skinieniem głowy.

– Od ponad roku żyjemy w separacji, a ponadto w miastach oddalonych od siebie o setki kilometrów. Powinienem być powiedzieć ci o tym już w łodzi. Nie byłem jednak pewien reakcji Lucy, która mogła nie życzyć sobie ujawniania łączącego nas związku.

Hubert machnął ręką, jakby ta sprawa akurat najmniej go obchodziła.

- U niej bardzo krucho z pieniędzmi. Ani się domyślałem, że ma męża skąpca.

Troy poczuł, że wzrasta w jego żyłach poziom adrenaliny.

- Nie przyjąłaby ode mnie ani centa.

- Może, może... To wartościowa kobieta, dlaczego się rozstaliście?

Troy dzielnie wytrzymał przenikliwe, drapieźne i bezlitosne spojrzenie starca.

– Ponieważ straciliśmy dziecko. Umarło, gdyż na tym świecie prócz ptaków istnieją też wirusy. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Hubert odchrząknął.

- Wybacz mi, Troy. Człowiek nigdy nie nauczy się pilnować własnego nosa.

Z kolei odezwał się Stephen.

- Czy to dlatego Lucy nie chce, by moja mama urodziła dziecko? – zapytał.

– Wątpię, by Lucy zazdrościła komukolwiek jego szczęścia. Ale głęboko przeżyła śmierć Michaela i patrzy na wszystko przez pryzmat swej straty.

- Chodźmy pooglądać ptaki – powiedział Hubert.

Poszli i przez następne trzy godziny Troy był ciągnany przez różne wykroty, mokradła,

trzciniowe chaszczce, zasieki z jeżyn i olszynowe zagajniki. Wypatrywanie i śledzenie ptaków w ich ostojach i gniazdach nie było zajęciem dla słabeuszy. Ale wysiłek opłacał się. Troy teraz dopiero uświadomił sobie, że można żyć trzydzieści siedem lat, patrzeć na świat i widzieć zaledwie jego małą cząstkę. Ptasi świat z jego bogactwem i pięknem ukazał mu się dopiero teraz. A ileż jeszcze światów nieznanymi?

Przy pożegnaniu Hubert powiedział:

– Jeżeli chcesz zobaczyć petrele, przyjdź do mnie o jedenastej w nocy.

Troy przyjął propozycję z niekłamany entuzjazmem.

Wróciwszy do hotelu, przede wszystkim uciął sobie długą drzemkę. Potem był obiad i jak zwykle ogólna rozmowa o ptakach. Tym razem mógł zrezygnować z roli głuchoniemego i dorzucić swoje trzy grosze. Stołowników obsługiwała pani Mossop, co, zdaje się, nikogo nie zaskoczyło.

Lecz kiedy o umówionej godzinie Troy zjawił się przed domem Huberta, jego latarka oświetliła nie jedną, ale dwie postacie. Sam również dostał się w snop światła latarki z naprzeciwka.

– Hubercie, nie uprzedziłeś mnie, że czekamy na Troya – rozległ się w ciemności głos Lucy.

– Pewnie wyleciało mi to z głowy. Idziemy.

– Jeżeli Troy idzie z tobą, to po co ja?

– Płacę ci za opiekę nad petrelami. Przestań więc wymigiwać się i dotrzyмай nam kroku.

Przodem szedł Hubert, potem Lucy, Troy zamykał pochód. Nie ulegało wątpliwości, że ma w Hubercie sprzymierzeńca. Obawiał się tylko, że ta szyta grubymi nićmi intryga może przynieść skutki przeciwne do zamierzonych.

Lucy była w spranych, bardzo obcisłych dżinsach. Troy, idąc za nią, mógł więc podziwiać jej krągły tyłeczek i długie zgrabne nogi. Nie myślał o ptakach, tylko o łóżku i seksie.

Szli wąską ścieżką wśród drzew. Rosnące tu całymi połaciami paprocie sięgały im do kolan. Rześkie nocne powietrze przesycone było zapachami mchów, grzybów i wilgotnej ziemi. Nagle Hubert zatrzymał się i zgasił latarkę.

– Słyszycie je? – szepnął.

Troy wyteżył słuch. Cisza. Ale niezupełna. Gdzieś z lewej dobiegły jego uszu żalosne kwilenia. Rzecz dziwna, nie dochodziły z koron drzew, tylko jakby spod ziemi. Niektóre z nich zaczęły przybierać na sile i to wzrastające natężenie skargi stało się niebawem jednym, dziwnie brzmiącym dźwiękiem. Las rozdzwiewał się, rozspiewał niesamowitym chórem tajemniczych zawodzeń, ni to błagań, ni to ironicznych przedrzeźnień.

Troy chwycił Lucy za ramię.

– Czy to petrele? Gdzie one są?

– Żyją w ziemnych norach. Słyszymy piskłeta. Domagają się jedzenia. – Wyciągnęła rękę.
– Spójrz! – Jakiś czarny skrzydlaty kształt śmignął pomiędzy koronami drzew. – To dorosły osobnik. Rodzice żerują na morzu przez dwa do trzech dni, potem wracają, żeby nakarmić dzieci, i cały cykl powtarza się od początku.

Mimo że jedynym źródłem światła był księżyc, Troy widział podniecenie malujące się na jej twarzy. To była dawna Lucy, ożywiona, przejęta jakąś sprawą, wyzwolona ze smutku i bólu.

Usłyszeli Huberta:

– Idę poszukać sowych gniazd, a wy czekajcie tu na mnie. Kiedy zniknął wśród drzew, prowadzony światłem swojej latarki, Lucy pozwoliła sobie na wpół ironiczną, na wpół gniewną uwagę:

– W roli swata Hubert przypomina kilkotonową koparkę, którą ktoś sprowadził sobie, aby posadzić drzewko. Co ty mu o nas powiedziałaś, Troy?

– Prawdę. Powiedz mi, jak te ptaki odnajdują swoje gniazda w ciemności? – Zadał to pytanie powodowany autentyczną ciekawością.

– W istocie wiedza o tym jest prawie żadna. Być może odgrywa tu jakąś rolę ich zmysł powonienia. Słyszysz? To ' dorosły petrel, który już jest na ziemi i próbuje odnaleźć swoją norę.

Przebiła ciemność światłem swej latarki i był to strzał w dziesiątkę. W świetlistym kręgu pojawił się średniej wielkości ciemny ptak ze szpiczastymi skrzydłami.

– Jest piękny, prawda? Ale gdy weźmiesz takie pierzaste cudo do ręki, możesz zostać opryskany cuchnącą oleistą cieczą, która wytryśnie mu z dzióbka. Ta ciecz to właśnie pokarm przyniesiony małym.

– Coś mi mówi, że te ptaki wiele dla ciebie znaczą.

Zgasiła latarkę, jakby wolała ukryć swoją twarz przed jego spojrzeniem.

– Przez dziewięć miesięcy w roku żyją na otwartym oceanie, ani razu nie dotykając lądu. Potem w leśnych ostępach wygrzebują w ziemi głębokie nory, w których składają jaja i wychowują młode. Myślę, że są to najdziwniejsze ze znanych mi ptaków. Fascynują mnie.

– Czy po tych dziewięciu miesiącach wracają do tego samego gniazda?

– Jeżeli uprzednio udało się im wychować młode, to tak – odparła jakby z pewnymi oporami. – Potwierdzają to badania Huberta, który łapie petrele i obrączkuje je. Samiec i samica po dziewięciomiesięcznym rozstaniu spotykają się na przełomie wiosny i lata przy tym samym gnieździe, co przed rokiem. Radość wywołaną tym spotkaniem wyrażają czymś w rodzaju pomruków.

Troy roześmiał się, choć nie był to śmiech ani spontaniczny, ani wesoły.

– Gdybym był petrelem – powiedział – też mruczałbym w tej chwili. Dzięki za ciekawą charakterystykę tych ptaków.

Długo patrzyła na niego w milczeniu.

– Ale nam nie udało się wychować naszego dziecka. Czas, żebyś znalazł sobie nową towarzyszkę życia.

Obruszył się.

– To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Pragnę tylko ciebie.

– Ale ja nie wypełniam wobec ciebie obowiązków małżeńskich. Odmawiam ci mojego ciała i nie chcę rodzić dzieci. Tak nie postępuje prawdziwa żona.

– Bo wciąż jeszcze nie pozbyłaś się strachu. Ale tak naprawdę to nie ma żadnego racjonalnego powodu, żeby bać się o los naszego drugiego dziecka. Możemy mieć jeszcze dwójkę lub trójkę dzieci i z każdego doczekać się wnuków.

Jej ramionami wstrząsnął suchy szloch.

– Przestań fantazjować, Troy. Lepiej posłuchaj mnie i wyjedź stąd. A potem zapomnij o mnie i rozejrzyj się za jakąś inną kobietą.

– Już mnie nie kochasz? – zapytał szeptem, mając wrażenie, że przekrzykuje wręcz łomot własnego serca.

– Nie.

Chwyił ją za rękę. Jej dłoń niczym nie różniła się od kawałka lodu.

– Powtórz, Lucy, bo może się przesłyszałem.

– Już cię nie kocham, Troy.

– Bzdura! Znam cię lepiej, niż ty znasz samą siebie. Jesteś uczciwa, wierna i prawdomówna. Pięć lat temu przysięgałaś mi miłość do końca życia. Należysz do osób, które dochowują raz danej przysięgi.

– Zmieniłam się od tego czasu. Kiedy wychodziłam za ciebie, nie uwzględniałam w rachunku możliwości aż takiego nieszczęścia. To dzieci innych ludzi umierają, nigdy nasze własne. Byłam młodą dziewczyną, głupią ignorantką, przekonaną w swej pysze, że mogą mi się przydarzyć tylko dobre rzeczy. Nie przewidziałam, że i przeciwko nam może zwrócić się złowrogi los.

– Żadne z nas nie przewidziało. To się zdarza, Lucy. To się zdarza. Ale życie toczy się dalej i musimy sprostać jego kolejnym wyzwaniom.

– Wciąż niczego nie rozumiesz, a ja nie wiem, jak to wytłumaczyć, żeby rozjaśnić ci w głowie.

– Kocham cię i zawsze będę kochał – powiedział z mocą i determinacją. – Wróć do mnie, Lucy. Bogatsi o tamto doświadczenie zaczniemy od nowa budować nasze szczęście.

Wyrwała rękę.

– Nie wrócę do ciebie, Troy – odpowiedziała głuchym głosem.

W tym momencie wśród drzew błysnęła latarka Huberta.

- Zrobię wszystko, żebyś zmieniła to postanowienie.
- Osaczając mnie, spowodujesz, że zacznę cię w końcu nienawidzić.
- Nie przestraszysz mnie takimi groźbami!

Byli o krok od zaciętrzewienia się i kłótni, ale na szczęście zbliżył się Hubert i zapobiegł najgorszemu. Sapał jak miech kowalski.

– Znalazłem dziuplę, a w niej dwie sówki. Zaprowadzę cię tam następnym razem, Troy. Albo może zrobi to Lucy. Jestem za stary na włóczenie się po leśnych wertepach w środku nocy. Co ty na to, Lucy?

– Ja również mam już dość tych włóczęg i chyba złożę rezygnację.

– Tylko mi nie mów o rezygnacji. Wiem, że pasjonują cię ptaki nie mniej niż mnie. A teraz, moje dzieci, wracamy do łóżek.

– Umówiłem się ze Stephenem – powiedział Troy – że obudzi mnie jutro skoro świt. Warto by więc wypocząć przed poranną wędrówką.

– To naprawdę wspaniały chłopak. Gdy patrzę na niego, żałuję, że nie sprawiłem sobie syna.

Lucy tupnęła nogą.

– Kiedy następnym razem będę u ciebie, Hubercie, poszukam w słowniku słowa „takt” i zapoznam cię z jego znaczeniem.

Hubert wyszczerzył swoje żółte zęby.

– Słyszałem już z niejednych ust, że jestem wyjątkowo nietaktownym facetem. Ale cóż, już się nie zmienię. Jestem na to za stary.

– Nigdy nie jest się za starym na tego rodzaju zmiany – zauważyła Lucy.

– Mądre słowa – powiedział Troy. – Odkąd tu przyjechałem, próbuję nauczyć cię właśnie tej prawdy.

– Troy, ty naprawdę potrafisz grać człowiekowi na nerwach! – wybuchnęła.

– Cicho, dzieci, bo ptaki nam się pobudzą – rzucił Hubert i pierwszy ruszył w drogę powrotną.

Na rozwidleniu ścieżek pożegnali się. Hubert poszedł w lewo, oni zaś w prawo. Prowadziła Lucy, miękko stąpając po igliwiu i z gracją przeskakując przez co większe korzenie drzew. On zaś, znowu wpatrzony w jej tyłeczek, potykał się niemal co krok i tylko cudem nie rozbił sobie nosa.

– Albo przybrałaś na wadze, albo twoje dżinsy tak się skurczyły – powiedział w pewnym momencie.

Stanęła i odwróciła się do Troya.

– Czy to naprawdę takie ważne dla ciebie? – spytała, biorąc się pod boki.

– Szkoda, że nie skurczył się również twój sweterek.

– Chwileczkę, Troy. Daj sobie spokój z tymi seksualnymi aluzjami. Przecież już nie masz szesnastu lat!

– Nie mam, ale gdy człowiek żyje w celibacie, ulega różnym pokusom.

Wybuchnęła krótkim śmiechem.

– Nie wmówisz mi, że przez ten czas nie miałeś żadnej kobiety.

– Wierz lub nie, ale nie jestem facetem stworzonym do zdrady. Nawet gdy raz próbowałem cię zdradzić, nic z tego mi nie wyszło, bo ciało tamtej kobiety tak bardzo różniło się od twojego, że w kulminacyjnym momencie straciłem ochotę. W rezultacie do dzisiaj pozostałem ci wierny.

– Nie musisz! – wykrzyknęła. – Zwalniam cię z danego mi słowa!

– To na nic, Lucy. Liczy się tylko to, czy ja siebie zwolnię z danego tobie słowa. A ja tego nie zrobię, bo nadal cię kocham.

– Jeżeli mnie kochasz, wyjedź stąd – powiedziała błagalnym tonem.

– Zostaję – odparł, nie do końca pewny słuszności swojej decyzji.

Czy miał jakąś szansę na powrót Lucy? Powiedziała mu, że go nie kocha. Powiedziała mu, że nie chce iść z nim do łóżka. Powiedziała mu, że może zacząć go nienawidzić. Chyba tylko cud mógł sprawić przemianę takiej postawy w jej przeciwieństwo. I właśnie on, Troy, liczył na taki cud.

Doszli do hotelu w milczeniu i w milczeniu się rozstali.

Rozdział 4

Nazajutrz wczesnym rankiem Stephen zapoznał Troya z muchołówkami, sikorkami i mysikrólikami, które uganiały się za pożywieniem w pobliżu hotelu. W odróżnieniu od tajemniczych, wręcz niesamowitych petreli, cała ta ptasia czereda tryskała wesołością, świergotała i zniewalała jakimś nieuchwytnym czarem.

Na śniadanie pani Mossop podała francuskie tosty, smażony bekon i kawę. Lucy nie dała znaku życia.

Troyowi było to nawet na rękę. Czuł się zmęczony, oklapły, prawie wyzbyty sił żywotnych. W żadnym wypadku nie sprostałby konfrontacji z Lucy, która wymagała zmobilizowania maksimum energii.

Po śniadaniu znowu pojawił się Stephen. Przez ramię przewieszony miał chlebak, a w nim kanapki, owoce i coś do picia.

– Chcesz wybrać się na plażę po przeciwnej stronie wyspy? – zapytał. – Dowiesz się czegoś o biegusach.

Biegusy wydawały się dobrym lekarstwem na ogólne przygnębienie i Troy przystał na propozycję.

Poranne słońce przesyłało jaskrawe światło z bezchmurnego nieba. Niemordowany Stephen paplał jak najęty. Mówił o swojej szkole, która niebawem miała się rozpocząć, o szkolnych kolegach, którzy bez wyjątku mieszkali na lądzie, i o ptakach, które zaczął podpatrywać, gdy już był na tyle duży, by móc nosić lornetkę.

– Wiem już, co będę studiował – powiedział. – Biologię, bo chcę zostać przyrodnikiem. Zobacz, koliber! Mamy tu tylko jeden gatunek. Z rubinowym kołnierzykiem.

Ptaszek unosił się ponad łańcem białej gorczyicy i mienił się w słońcu niczym prawdziwy drogocenny kamień. W krzewach i drzewach wokół domu Troya na Virgin Gorda żyło setki, jeśli nie tysiące różnobarwnych kolibrów. W tym domu Troy po raz pierwszy kochał się z Lucy. I dlatego kolibry kojarzyły mu się z miłością i spełnieniem.

– Czy dobrze się czujesz? – zapytał chłopiec.

– Tak. Jestem tylko trochę zmęczony. Wczoraj Hubert, Lucy i ja podglądaliśmy do późnej nocy petrele.

– Dzisiaj Lucy płakała, gdy robiła grzanki. Czy to z twojego powodu? – W pytaniu chłopca dawało się wyczuć oskarżający ton.

– Nie wiem, Stephen. Ona najwyraźniej nie chce mnie tutaj.

Chłopiec przez chwilę roztrząsał coś w myślach.

– Lubię Lucy i lubię ciebie – powiedział. – Nie wiem, dlaczego musicie kłócić się ze sobą.

Dorośli są czasem bardzo dziwacznymi.

– Gdzież są te sławetne biegusy? – Troy mimo wszystko wołał zmienić temat.

Po kwadransie miał ich pod dostatkiem. Plaża była ich pełna. Biegusy nieoczekiwanie okazały się pięknymi ptakami. Poruszały się rytmicznie, jakby odmierzało ich ruchy tykanie zegarka, a podrywając się w powietrze, ukazywały swoje białe lśniące brzuchy.

– Mogą wędrować nawet kilkanaście tysięcy kilometrów. Teraz właśnie gromadzą zapasy tłuszczu i energii przed taką wędrowką. Są dzielne i wytrwałe.

Troyowi spodobały się słowa chłopca. W jakimś sensie sam poczuł się pokrzepiony na duchu. Skoro te małe stworzonka są zdolne do takiego wysiłku, dlaczego on miałby być mniej wytrwały i dzielny? Dlatego, kiedy wrócili do hotelu, Troy, czując przypływ sił, poszedł wykąpać się w morzu.

Woda była lodowata, co tłumaczyło, dlaczego na plaży nie widać było innych amatorów morskiej kąpiel. Rozebrał się, wskoczył do wody i popłynął. Energicznie wyrzucał ramiona i mocno pracował nogami, nie tyle dbając o czystość stylu, co broniąc organizm przed wychłodzeniem. Pływał około dwudziestu minut, a kiedy znów poczuł pod stopami ciepły piasek, stwierdził, że doświadczył czegoś w rodzaju wewnętrznego oczyszczenia.

Właśnie rozcierał zdrętwiałe z zimna mięśnie dużym szorstkim kąpielowym ręcznikiem, gdy usłyszał szmer. Odwrócił głowę. Ścieżką między głazami schodziła ku niemu Lucy. Miała na sobie krótkie pomarańczowe szorty i zieloną koszulkę.

– Jak się masz – pozdrowił ją.

– Nie wiedziałam, że cię tu zastanę – powiedziała w formie usprawiedliwienia. – Czasem zachodzę tu, żeby się ochłodzić po piekle kuchni.

Nie chciała go, a on wciąż stawał jej na drodze.

– Już sobie idę. Pewnie lubisz przebywać tu sama.

Zrzucił ręcznik, którym dotąd był opatulony.

Prześlizgnęła się spojrzeniem po jego nagim ciele.

– Co to jest? – zapytała, wskazując ręką na jego lewy bok.

Spojrzał w dół na swoje ciało, by po raz setny odnaleźć długą czerwoną bliznę, która ciągnęła się ukośnie od pępka niemal do łopatki.

– Miałem wywrotkę podczas jazdy na nartach ostatniej zimy.

– Ty miałeś wywrotkę? – spytała ze szczerym niedowierzaniem.

– Zajechała mi drogę para żółtodziobów. Miałem do wyboru: przejechać się po nich albo wejść w bliski kontakt z najbliższym drzewem. Wybrałem drzewo.

– Mogłeś się zabić – powiedziała drżącym głosem.

– Gdyby tak się stało, nie byłoby mnie tutaj i ty nie musiałabyś opędzać się ode mnie.

– Jak możesz mówić coś takiego! Nigdy nie życzyłam ci śmierci.

– Nie, ty po prostu tylko mnie nie chcesz – powiedział z jakąś ogromną goryczą w głosie.

– Och, Troy, nie upraszczaj w ten sposób złożonych i skomplikowanych spraw, bo czynisz je tym samym jeszcze trudniejszymi.

Podeszła i dotknęła ciepłą dłoń jego brzydkiej, nabrzmiałej blizny. Nie mógł nie skorzystać z tej okazji i nie pocałować jej. Ale nie mógł też nadmiernie przedłużyć tego pocałunku, gdyż wówczas, wiedział to, odepchnęłaby go całą siłą swych ramion. Dlatego też tylko chwilę sycił się jej miękkimi, ciepłymi wargami, a potem zaczął się szybko ubierać.

– Miłej samotności – rzucił na odchodnym.

Nie zatrzymała go.

Obiad był jak zwykle smaczny i obfity. Po deserze Keith wyświetlał gościom slajdy z wycieczki rodziny McManusów nad Wielkie Jezioro Niewolnicze, Anna zaś każde zdjęcie opatrywała ciekawym komentarzem. Lucy nie było wśród zgromadzonych osób. Troy poszedł spać, jak to się mówi, razem z kurami.

Minęły trzy dni, a każdy z nich spędził Troy prawie identycznie. Wyprawy ze Stephenem i, rzadziej, z Hubertem; przesiadywania na tarasie; wspólne posiłki; lektura książek o ptakach, z których zresztą dowiadywał się dużo więcej niż z własnych obserwacji. Czwartego dnia solidnie rozpadało się, wiał też silny wiatr, który wzburzył fale oceanu. O wychodzeniu nie mogło być mowy. Troy i Stephen zabijali więc czas grą w karty. Przy okazji Troy nauczył chłopca kilkunastu trików karcianych, które sam poznał również we wczesnej młodości.

Ruchy Anny stawały się z dnia na dzień coraz bardziej ociężałe, co świadczyło o zbliżającym się rozwiązaniu. Anna wymieniała wprawdzie dzień pierwszego października jako przybliżoną datę porodu, ale Troy miał co do tego poważne wątpliwości. Jego zdaniem, narodzin dziecka należało oczekiwać dużo wcześniej.

W sumie pobyt na wyspie sprawiał mu dużą przyjemność. Pomimo dręczącego go czasami pożądanego, trzymał się z dala od Lucy, wiedząc, że rozgrywa bodaj najważniejszą partię swojego życia i nie może powodować się namiętnościami. Miał też nadzieję, że Lucy przywyknie z czasem do jego widoku.

Jak na razie coraz częściej odwiedzał Huberta, na którego życzyliłość zawsze mógł liczyć.

Dom ornitologa przypominał ni to muzeum, ni to laboratorium naukowe. Dziesiątki fachowych książek o ptakach, fotografie i szkice ptaków, bogata kolekcja ptaków wypchanych, a wśród nich egzemplarze w różnych fazach dorastania, ptasie szkielety i modele najróżniejszych gniazd.

Tego wieczoru gospodarz, nalawszy gościowi pół szklanki szkockiej, zapytał prosto z mostu:

– No więc, kiedy ty i Lucy znów się połączycie?

Troy wzruszył ramionami.

– Pytasz o termin, a tu nawet szansa na połączenie się jest mocno wątpliwa.

– W takim razie, kim ty jesteś? Mężczyzną czy cieleciem? Ona jest twoją żoną, prawda? Czekasz, aż ci ją podkradnie ten malarzyna? To bardzo niebezpieczny rywal, gdyż kiedy odłoży pędzel, potrafi być miłym i sensownym chłopem.

Troy podniósł szklankę do ust i uraczył się potężnym haustem whisky. Uświadomił sobie, że nie rozważał dotąd na serio tego niebezpieczeństwa. Lucy żądała rozwodu – czyżby z myślą o Quentinie? Poczul piekący smak zazdrości.

– Jakoś nie miałem dotąd okazji poznać tego malarza.

– Mam tu gdzieś jego zdjęcie. – Hubert poszukał w papierzyskach na biurku, odnalazł fotkę i podał ją Troyowi. – Upamiętnia piknik, który Keith i Anna zorganizowali na przełomie lipca i sierpnia.

Zdjęcie przedstawiało roześmianą parę, stojącą na tle kwitnących różanych krzewów i błękitnego oceanu. Kobieta i mężczyzna byli w strojach kąpielowych i zachwycali swoją urodą. Troy skupił się na mężczyźnie, gdyż walory Lucy znał na pamięć. Do diaska, temu Quentinowi nic nie można było zarzucić. Miał ciało greckiego herosa.

Dziwne, lecz wyobrażał go sobie dotąd jako łysawego mężczyznę w średnim wieku.

– Czy to Quentin? – zapytał z nie skrywaną wrogością w głosie.

– Do niedawna miałem go za zimnego drağala, który podnieca się tylko na widok blejtramu obciągniętego płótnem. Lecz Lucy potrafiła sprawić, że i jego krew zakipiała. Więc walcz o nią, człowieku, dopóki nie jest za późno! Porwij ją i, choćby związaną, przewieź na ląd. – Hubert wydmuchał głośno nos w chusteczkę wielkości małego prześcieradła. – Przybywa tu na dłuższy pobyt siostrzenica pani Mossop. Na pewno chętnie zgodzi się pomagać w kuchni. Od tego momentu Lucy będzie wolna.

Troy dopił whisky, poderwał się z fotela i bełkotliwie pożegnawszy się z Hubertem, wybiegł na drogę wiodącą do hotelu. Mało brakowało, a idąc, biłby siebie pięściami po głowie. Jakim głupcem się okazał, pozostawiając Lucy bez kontroli! Własnoręcznie pchał ją w łapy tego greckiego herosa!

– Pięknie się sprawiłeś, Troy – powiedział głośno do siebie. – Upajałeś się fałszywym spokojem, oglądałeś sobie ptaszki, a tymczasem tuż pod twoim bokiem twoja żona romansowała z tamtym. I co teraz poczniesz?

Tej nocy nie mógł zasnąć. Ale rankiem miał gotowy plan.

Po śniadaniu wparadował do kuchni. Lucy, spocona i zarumieniona od panującego tu gorąca, wstawiała właśnie do zlewu brudne talerze. Na jego widok wyprostowała się.

– Czego chcesz?

Uniósł brwi, zaskoczony tonem jej pytania.

– Powiedz mi, gdzie jest lodówka. Wybieram się ze Stephenem na dłuższą wycieczkę, bo aż do klifów, i chciałbym wziąć jakiś prowiant.

Otarła wierzchem dłoni spocone czoło.

– To piękny zakątek.

– A może dołączysz do nas? – rzucił z taką miną, jakby dopiero teraz wpadł na ten pomysł.

– Stephen będzie towarzyszył nam jako przyzwoitka.

– Nie potrzebujemy żadnej przyzwoitki! – odrzekła gniewnie. – Zresztą i tak nie mogę.

– Chwila oddechu dobrze ci zrobi. Na świeżym powietrzu i w słońcu odzyskasz dobry humor.

– Czy tym właśnie leczysz przypadłości duszy, doktorze Donovan? – spytała z zabójczym sarkazmem.

– Och, potrafię też zastosować inne kuracje.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa, wiesz o tym?

– Wspaniale.

– Muszę wrócić o wpół do piątej.

– Już w tym głowa Stephena, żebym padł ze zmęczenia dużo wcześniej. Ten chłopak ma wytrzymałość górskiej kozicy. A teraz powiedz mi, gdzie trzymasz chleb?

Mechanicznie chwyciła ścierkę i zaczęła miąć ją w dłoniach.

– Czy ty, patrząc na Stephena, czasami nie zadajesz sobie pytania, jak mógłby wyglądać Michael w jego wieku?

Musiało coś w niej pęknąć, gdyż po raz pierwszy od wielu miesięcy sama z siebie wymieniła imię ich zmarłego synka.

– Tak, wielokrotnie zadawałem sobie to pytanie. – Delikatnie, lecz stanowczo wyjął z jej rękę ścierkę, nad którą się pastwiła. – Podrzesz ją na strzępy, kochanie.

Przez chwilę patrzyła na swoje puste dłonie, po czym nagle spazmatycznie nabrała w płuca powietrza, jak dziecko po długim płaczu.

– Czy mogą być kanapki z szynką? – zapytała.

– Prędzej czy później musimy o nim porozmawiać, to jest o Michaelu. Jak dotąd, zachowujemy się tak, jakby nigdy nie istniał.

– Troy, jeżeli podczas tej wycieczki zamierzasz sprzeczać się ze mną lub prawić mi morały, to wolę nie iść.

– To już od razu lepiej schowaj się w mysiej dziurze, bo tam najbezpieczniej.

– A może wolisz kanapki z kurczakiem?

Ironicznie uśmiechnął się.

– Wolę z szynką.

– Z musztardą, majonezem i kiszonym ogórkiem?

Do wyrazu ironii malującego się na twarzy Troya dołączył wyraz wzruszenia.

– A więc nie zapomniałaś mojej wersji kanapek z szynką? Kto wie, może pamiętasz również moją wersję kochania się z tobą. Siadałaś na mnie okrakiem w tej swojej kupionej w Paryżu czarnej koronkowej nocnej koszulce i...

– Przestań! Ktoś może wejść i usłyszeć, co mówisz. – Policzki Lucy oblał rumieniec, a jej niespokojne spojrzenie powędrowało ku drzwiom.

On jednak zatracił już poczucie przyzwoitości. Jej zawstydzenie tylko wzmogło jego pożądanie. Podniecony własnymi słowami i wywołaną przez nie wizją tamtych szalonych nocy miłosnych, przysunął się do Lucy, przyparł ją do zlewu i zaczął namiętnie całować. I rzecz dziwna – Lucy nie bronila się. Mimo przestrachu wywołanego faktem, że wszystko to dzieje się w miejscu publicznym, oddawała pocałunki, jakby nagle zapragnęła nasycić swój głód. Wsunął rękę pod jej spódnicę i dotarł do ud. I wtedy Lucy rozchyliła je.

W tym momencie weszła pani Mossop, wydała okrzyk i zniknęła.

Podziałało to na nich niczym zimny prysznic. Odskoczyli od siebie. Przez jakiś czas jedno i drugie uspokajało swój oddech. A potem wybuchnęli zgodnym śmiechem. Wystarczyło doprawdy niewiele, by miłosa zadyszka zmieniła się w chichot.

– Z czego się tak śmiejecie? – usłyszeli głos Stephena.

Stał oparty o framugę drzwi i podejrzliwie gapił się na nich.

– Zastanawiamy się – odpowiedział Troy – z czym przygotować kanapki. Z szynką czy z kurczakiem?

– Nie widzę w tym nic do śmiechu.

– Tak, tylko że kurczak, o którym mówię, wciąż jeszcze żyje.

Stephen raczył się uśmiechnąć. Uzgodnili, że spotkają się we trójkę za kwadrans przed hotelem.

Stephen i Troy zjawili się pierwsi. Po minucie ze swojego domku wyszła Lucy. Miała na sobie te same ciasno dopasowane džinsy, w których była na nocnej wyprawie na petrele. Do džinsów włożyła luźną bawełnianą koszulkę w kolorze zielonym, która, tuszując cokolwiek rozmiary jej pełnego biustu, dawała tym większe pole dla męskiej wyobraźni. Troy stwierdził w duchu z pewnym zażenowaniem, że coraz częściej spogląda na swoją małżonkę jak na czysty obiekt męskiego pożądania.

– Prowadź – powiedział do chłopca i ruszyli.

Pogoda była idealna, wprost wymarzona do tego typu wycieczki. Świeciło słońce, wiał rześki wiatr, temperatura nie przekraczała dwudziestu pięciu stopni. Ze wszystkich stron

dobiegały ptasie świergotania.

Troy czuł się szczęśliwy. Już nie pamiętał, kiedy ostami raz był w takim nastroju. Nic jeszcze nie było pewne, nic jeszcze nie było ustalone, a jednak mając Lucy przy sobie, czuł się jak wybraniec bogów. Miał ochotę śmiać się i śpiewać. I z pewnością zdecydowałby się na śpiew, robiąc konkurencję ptasim artystom, gdyby nie świadomość, że właściwie nie zna słów ani jednej piosenki. Ale jego serce śpiewało, nogi zaś niosły go tak lekko, jakby w podszwach butów zainstalowane miał sprężyny.

Przecięli wyspę z zachodu na wschód, by następnie skalistym wybrzeżem pomaszerować na północ, w kierunku klifów. W miejscach, gdzie skały zagraadzały im drogę, oddalali się od oceanu i zagłębiali w las. I tak natrafili na polankę pełną leśnych malin. Krzewy obsypane były dorodnymi, pachnącymi owocami. Można je było zrywać garściami i garściami pakować do ust. Lecz zanim Troy zdążył pójść za przykładem Stephena, Lucy podała mu wyjątkowo piękny, nabrzmiały sokiem owoc.

– Zmieniłeś się – zauważyła. – Wyglądasz jakby... młodziej.

– Jestem szczęśliwy – odparł z wielką prostotą.

– Troy, lepiej nie wyzywać losu.

– O nie, kochanie. Nie wmówisz mi, że rozsądnie jest nie przyznawać się do swojego szczęścia, bo nie znamy jutra, które może przynieść smutną odmianę. Patrząc na ciebie, podziwiam cię i jestem szczęśliwy.

Westchnęła.

– Dopóki się nie zjawileś, wiedziałam dokładnie, co mam robić. A teraz jestem jak Hubert, który pewnego ranka odkrywa, że wszystkie ptaki z wyspy gdzieś sobie odleciały.

– Droga Lucy, zjadłbym jeszcze jedną malinkę.

– Drogi Troy, teraz ty zrywasz, a ja jem.

I tak się przekomarzali, nawzajem podając sobie maliny do ust, aż w końcu tę ich rozkoszną zabawę przerwał Stephen.

– Skończcie z tym objadaniem się. Musimy iść.

Roześmieli się i poszli za chłopcem. Po godzinie dość szybkiego marszu dotarli do miejsca, skąd widać było oddzieloną od brzegu niezbyt szerokim przesmykiem małą skalistą wysepkę. Pod samotnym świerkiem zaś, od którego dzieliło ich kilkanaście kroków, ujrzeli przewrócone do góry dnem dwie łodzie z syntetycznego materiału.

– Co one tu robią? – zapytał chłopca Troy.

– Tymi łódkami badacze ptaków przeprowadzają się na Wyspę Rybiej Głowy. – Stephen wskazał ręką ku morzu. – Można tam spotkać śnieżną sowę, czerwone brodzie i inne rzadkie gatunki ptaków. I oczywiście żyją tam całe stada fok. Słyszycie, jak się drą?

I faktycznie, ponad wodą, niesione wiatrem, docierały do ich uszu ni to jęki, ni to skargi, ni

to głuche stękania. Od czasu do czasu dźwięki te stawały się akustycznym tłem dla przeciągłego ryku lub krótkiego kaszlu.

– Zdaniem Anny – powiedziała Lucy – mitologiczne i baśniowe podania o syrenach mają swoje źródło w przeżyciu krzyku fok. Jakie dziwne to skojarzenie... przejście od fok do syren, które przecież wabią tylko po to, aby skazać mężczyzn na zatracenie.

– Odgłosy te przypominają – rzekł Troy, który nie chciał dopuścić, żeby Lucy znów wpadła w melancholię – kichanie Huberta w chusteczkę.

– Ależ z ciebie antyromantyczna dusza – powiedziała, potrząsając głową.

Czy mówiąc o syrenach, myślała o sobie? Czyżby również siebie widziała w roli wabiącej i wiodącej na zatracenie? Troy przeniósł wzrok na skalistą wysepkę. Osnuta błękitną mgiełką, niewątpliwie skrywała w sobie jakąś tajemnicę.

Ale nie chciał teraz myśleć o zgubie i śmierci. Żył i zamierzał cieszyć się życiem. Żyła również Lucy. Emanowała erotyzmem, a więc była samym życiem.

Dalej na północ linia brzegu skręcała łagodnym łukiem na zachód. Doszli do szerokiej piaszczystej plaży, usianej kępkami zeschłej trawy. Nagle nad ich głowami, jakby przetworzony z błękitu, pojawił się sokół wędrowny. I w tym momencie cała plaża ożyła, zmieniając się w jednej sekundzie w chmurę łopoczących skrzydeł, która uniosła się ku górze. Był to niezapomniany widok. Przyszpilony do nieba samotny drapieźnik, a pod nim już nie pojedyncze bezbronne ptaki, tylko cały ich hufiec, zespolony wolą obrony.

Patrzyli w zachwycie, a Stephen aż wydał bojowy okrzyk.

W tym miejscu wyspa przypominała sawannę. Jak okiem sięgnąć trawa i tylko gdzieniegdzie jakiś kolczasty krzew lub pochylone drzewo.

– Tam jest staw – powiedział Stephen, wskazując ręką w kierunku zachodnim – a na nim mnóstwo kaczek. Ale nie możemy pójść przez te łąki. Tata złołby mi skórę, gdybym to zrobił. Powiedział mi raz, że pełno tu zdradliwych dziur i jeśli człowiek w nie wpadnie, ginie bez wieści.

Łąka wyglądała pięknie, wręcz idyllicznie. Aż nie chciało się wierzyć, że czyhało na niej tyle niebezpieczeństw.

– Będę o tym pamiętał – obiecał Troy.

Wreszcie dotarli do klifów. Widok wart był podjęcia długiej wędrówki. Granitowa skarpa spadała niemal pionowo w dół i ginęła w spienionym oceanie. Powietrze wibrowało od nieprzerwanego krzyku morskiego ptactwa, gnieźdzącego się na skalnych półkach. Stephen pokazał Troyowi mewy srebrzyste, wydrzyki i rybitwy. Natomiast Troy zrewanżował się chłopcu znalezieniem w trawie kości i skrzydeł trzech mew, które chyba jednak nie były jeszcze zupełnie dorosłe.

– Gdzieś tu w pobliżu musi gnieździć się sowa – powiedział chłopiec. – Po lunchu pójde i

poszukam jej.

– Tylko trzymaj się z dala od urwiska – przestrzegł go Troy po ojcowsku.

– Sowy gnieźdzą się w lasach, a nie na skałach – odparł Stephen, dumny ze swej wiedzy.

Usiedli w cieniu żałośnie poskręcane go świerku, który musiał stawić już czoło niejednej wichurze, i podzielili się zapasami z chlebaka.

Przez jakiś czas panowało skupione milczenie.

– Jedzenie zawsze bardziej smakuje na świeżym powietrzu – oświadczył Stephen.

Troy uśmiechnął się do Lucy.

– Kanapki z szynką mógłbym jeść zawsze i w każdym miejscu.

Zmarszczyła nos.

– Nigdy nie pojmem, jak można jeść ogórek kiszony w połączeniu z musztardą.

– Cóż, widocznie jestem facetem o zdeprawowanych gustach i zachciankach.

Troy jadł z apetytem i w rezultacie chyba przesadził w jedzeniu. Poczł się ociężały i senny. Wyciągnął się więc na trawie i prosząc Lucy, żeby go obudziła za pół godziny, zamknął oczy. Usypiając, słyszał krzyki mew i szelest przewracanych stron atlasu ptaków, w którym Stephen szukał jakiejś informacji.

Ostatnią myślą Troya było, że wszystko układa się dobrze i że chyba wygra tę partię.

Rozdział 5

– Troy, obudź się! Na miłość boską, obudź się!

Troy niechętnie rozstał się ze swoim snem, w którym jakieś piękności, bliźniaczo podobne do Lucy, wabiły go na skały, gdzie czarne i białe foki wygrzewały się w słońcu – i otworzył oczy.

Lucy targała go za ramię. Na jej twarzy malowało się śmiertelne przerażenie. Jej głos drżał i załamywał się.

– Stephen! Ratuj Stephena! Poślizgnął się i spadł na skalną półkę.

Troy momentalnie otrzeźwiał. Poderwał się na równe nogi.

– Mówisz o klifie? Boże, przecież mu zabroniłem. Szybko. Zaprowadź mnie tam.

Lucy pobiegła przodem. Jej długie włosy powiewały na wietrze, a ramionami wstrząsał szloch. Przy kępce jeżyn zwolniła. Sparaliżowana tym, co się stało, nie miała już siły biec. Teraz Troy musiał ją wręcz podtrzymywać. Minęli samotne drzewo i przeciąwszy na ukos trawiasty pas, podeszli do krawędzi urwiska.

– Tam w dole – wyszeptała, ale patrzyła gdzieś w bok. Zabrakło jej odwagi na zmierzenie się z otchłanią. Zresztą natychmiast cofnęła się o kilka kroków.

Troy ukląkł, wychylił się i spojrział w dół. Najpierw zobaczył kipieli u stóp skały, a potem dopiero Stephena. Stojąc na wąskim występie, znajdował się dwa, trzy metry niżej. To znaczy w tej mniej więcej odległości znajdowała się półka, o którą wspierał się stopami. Szlochał i tulił się do granitowej ściany, do której odwrócony był twarzą. Miał podrapany policzek i obtarte ramię. Jego lornetka, błyskając w słońcu potłuczonymi soczewkami, leżała dziesięć metrów niżej. Upadła też na skalną półkę, tuż obok gniazda mew.

Troy w mgnieniu oka zorientował się, że nie może być mowy o ściąganiu pomocy z hotelu. Wprawdzie w słońcu było ciepło, ale Stephen stał w cieniu i to stał nieruchomo, a poza tym wystawiony był na chłodną bryzę od strony otwartego oceanu. Przerażenie, karkołomna pozycja, chłód – wszystko to mogło, a nawet musiało spowodować szybkie osłabienie ciała i woli. W każdej chwili Stephen mógł się zachwiać i runąć w przepaść.

– Stephen – odezwał się Troy, starając się mówić spokojnie i rzeczowo. – Mam zamiar przewiesić się przez krawędź. Lucy będzie mnie trzymała za nogi. W odpowiedniej chwili podniesiesz ręce, a ja chwycę cię za nadgarstki.

Stephen spojrział ku górze.

– Dobrze – odparł piskliwym głosikiem.

Pozostawało jeszcze ustalić wszystko z Lucy.

Wydawała się zastraszona i odrętwiała. Podeszedł i wzięwszy ją za ramiona, silnie nią

potrzęsnał.

– Teraz nie czas na bierność, Lucy. Ja się położę, a ty chwycisz mnie za kostki nóg. A kiedy krzyknę, już", ciągnij. Na pewno nam się uda, kochanie. Do wyciągniętych rąk Stephena mam niewiele ponad metr.

Lucy bez słowa skinęła głową. Troy położył się na brzuchu I już po chwili poczuł na kostkach kurczowy uścisk jej dłoni.

Powoli, bardzo powoli jął przesuwać górną połowę ciała poza krawędź klifu. Centymetr do przodu i ocena, czy czasami nie wysunął się za daleko. Potem znowu centymetr i podobna ocena. Kiedy wreszcie uznał, że dalsze wysuwanie się byłoby połączone z ryzykiem utraty równowagi, pozwolił swobodnie zwisnąć swojemu ciału w dół. Spojrzał na chłopca. Ten już podniósł ręce i teraz trzymał je ponad głową. Pobieżne obliczenie wysokości okazało się trafne. Troy chwycił Stephena za nadgarstki.

– Teraz trzymaj się, mały. Nie obawiaj się, nie zaliczam się do cherlaków.

On, Troy, nie zaliczał się do cherlaków, lecz jak temu trudnemu zadaniu podoła Lucy? Teraz bowiem powodzenie całej tej akcji ratunkowej zależało w poważnym stopniu od jej siły i determinacji, a nawet pewnego rodzaju sprytu.

Napiął wszystkie mięśnie, skoncentrował się i krzyknął:

– Już!

Wydźwignięcie Stephena nawet w teorii wydawało się czynem karkołomnym. Gdyby on, Troy, miał oparcie dla łokci, mógłby zastosować metodę powolnego wyczołgiwania się, co bez wątplenia ulżyłoby Lucy. Ale zwiślał przecież całą górną połowę ciała wzdłuż pionowej ściany i w tej pierwszej fazie powrotu mógł pomagać Lucy jedynie czymś w rodzaju ruchów robaczkowych. Na szczęście Stephen nie zachowywał się biernie. Wymacał stopami ścianę i tam, gdzie mógł, wspierał się czubkami tenisówek o jakieś drobniejsze występy.

Minęła, wydawało się, cała wieczność, a chłopiec wciąż zwiślał nad przepaścią, tyle że może trzydzieści do czterdziestu centymetrów nad półką, z której go Troy podźwignął. Troyowi pot zalewał oczy. W jego żebra i brzuch wbijały się ostre szpikulce skalnej krawędzi. Ale nie czuł bólu. Czuł natomiast narastającą wściekłość. Musi wygrać tę rozgrywkę z losem!

Jeszcze chwila, Troy, mobilizował siebie w duchu. Chyba nie spaprzesz roboty tuż przed końcem?

Wreszcie nadszedł moment, na który czekał. Poza krawędzią znajdowały się teraz tylko jego ramiona, niewielka część barków i głowa. Teraz więc tylko samą siłą ramion i mięśni brzucha mógł dźwignąć chłopca i rzucić go na trawiastą ziemię.

Nabrał w płuca powietrza.

– Trzymaj mocno, Lucy! – wykrzyknął.

Skoncentrował się i na poły akrobatycznym ruchem w ciągu jednej sekundy zrobił to, co

sobie zaplanował. Widział kątem oka, jak Stephen pada na trawę. Było już po wszystkim.

Przewrócił się z jękiem na plecy i długo patrzył w niebo.

Stephen spazmatycznie płakał. Zaraz też do jego płaczu dołączył histeryczny szloch Lucy.

Mimo że obolały i skrajnie wyczerpany, Troy podniósł się z ziemi, podszedł do Lucy i próbował ją uspokoić.

– Nie płacz. Stephen jest już bezpieczny. Nie poradziłbym sobie bez twojej pomocy.

– Ale mógł przecież spaść. I nie byłoby go, tak jak nie ma Michaela.

– Ale jest, żyje – powiedział Troy z ponurą miną, po czym odwrócił się ku chłopcu. – A swoją drogą, chciałbym wiedzieć, po jakiego diabła tu przylazłeś? Przecież wybierałeś się na poszukiwanie gniazda sowy.

Stephen wytarł ramieniem zalane łzami oczy i sięgnął do kieszeni džinsów. Po chwili trzymał w palcach pięknie ubarwione piórko. Mieszanina błękitnej szarości i rdzawego brązu.

– Idąc tamtą ścieżką – tu wskazał na oddaloną o dobrych kilka metrów od urwiska kamienistą ścieżkę – dostrzegłem je na trawie w pobliżu krawędzi. Podszedłem, nachyliłem się i już prawie miałem je w dłoni, gdy powiał silny wiatr i przeniósł je na samą krawędź. Udało mi się je chwycić i schować do kieszeni, ale odwracając się zawadziłem o coś nogą, zachwiałem się, poślizgnąłem i spadłem. To jest pióro sowy – oznajmił z wyrazem triumfu na twarzy. – Pierwsze pióro sowy w mojej kolekcji.

– Mogłeś tej swojej kolekcji już nigdy więcej nie oglądać. Postąpiłeś głupio i lekkomyślnie, wiesz o tym?

Zaczerwieniony po czubki włosów, Stephen skinął głową.

– Czy powiesz mojemu tacie?

– A co niby...

– Oczywiście, że musimy powiedzieć o wszystkim twoim rodzicom – wtrąciła się Lucy.

– Naprawdę nie chciałem was zdenerwować.

– Zaufaliśmy ci, lecz ty nie zasługujesz na zaufanie – wybuchnęła.

– Może nie jest aż tak źle – zaproponował Troy.

– Przestań mnie pouczać!

– Dajmy już temu spokój – powiedział twardym głosem.

– Stephen najadł się strachu, więc idę o zakład, że kiedy znowu zobaczy jakieś piórko, pomyśli dwa razy, zanim po nie sięgnie. A teraz czas wracać do domu. Dopiero tam na miejscu będę mógł opatrzyć te jego brzydkie obtarcia. Szczególnie niepokoję się jego kolanem. Gdybyś zgodziła się nieść chlebak, ja mógłbym wziąć tego naszego huncwota na barana.

Szli już przez godzinę, lecz ponieważ w kierunku południowego cypla wyspy teren łagodnie się obniżał, Troy nie czuł ciężaru chłopca, który obejmował go z tyłu za szyję swymi chudymi ramionami i markotnie milczał. Milczała również Lucy. Przeżyła silny wstrząs i

prawdopodobnie jeszcze nie doszła do siebie. Troy przyrzekł sobie solennie, że jeszcze tego wieczoru będzie musiał z nią poważnie porozmawiać.

Była już dziewiąta, kiedy w oknach domku Lucy zabłysło słabe światło. Szczelnie zasunięte zasłony informowały o potrzebie prywatności. Troy włożył sweter i zbiegł po schodach do holu. Po chwili był już na dworze.

Kiedy wrócili z wycieczki, Anna impulsywnie obrugła synka i nawet Keith dorzucił kilka starannie wyważonych upomnień. Troy obmył Stephenowi rany, zdezynfekował je i opatrzył. Lucy zniknęła w kuchni, zaś obsługiwaniem stołowników zajęła się pani Mossop. Przez cały czas obiadu traktowała Troya z zimną uprzejmością, którą w innych okolicznościach z pewnością uznałby za zabawne dziwactwo.

Teraz przemierzał trawnik z obawą w sercu. Nie miał żadnej pewności, czy nie zastanie zaryglowanych drzwi, a na jego pukanie odpowie mu głucho milczenie.

Spotkała go jednak miła niespodzianka.

– Czekałam na ciebie – powiedziała Lucy, jak gdyby w formie powitania. – Wejdz, proszę.

Wszedł i, siłą rzeczy, utkwiał wzrok na łóżku, które zajmowało niemal pół izby. Łóżko to natychmiast zdominowało jego wyobraźnię.

– Mogę usiąść? – zapytał.

– Nasza rozmowa nie będzie trwała długo – usłyszał w odpowiedzi.

Puścił te słowa mimo uszu. Wziął jedno z krzeseł, ustawił je na środku pokoju i usiadł na nim przodem do oparcia.

– Więc proszę, zaczynaj – rzekł, spoglądając badawczo na Lucy. – Wydajesz się być dobrze przygotowana do tej rozmowy.

Przez chwilę patrzyła nań w milczeniu. Pod jej ciężkim spojrzeniem poczuł, że nerwy zaczynają mu odmawiać posłuszeństwa. W końcu jednak wziął się w garść. Walczysz o swoje życie, powtarzał sobie na okrągło. Musisz zachować absolutny spokój.

– Chcę, żebyś opuścił wyspę – zaczęła. – Jutro ma tu przyplłynąć łódź z zamówionymi produktami. Możesz odpłynąć kursem powrotnym. Wolałabym cię nie widywać.

Troy poczuł gorzkie rozczarowanie. Spodziewał się mimo wszystko czegoś innego. Lucy nie chciała go.

– Mogłabyś umotywować swoje żądanie?

– Nie muszę. Zresztą znasz moje argumenty.

– Czy dzisiaj zrobiłem coś nie tak?

– Przeciwnie. – Najwyraźniej chłód i opanowanie nie opuszczały jej. – Wycieczka z tobą i Stephenem sprawiła mi dużą przyjemność...

– Miło było – przerwał jej – karmić cię malinami, a potem całować twoje malinowe usta.

– Tak, byłeś wręcz zniewalający. Ale tu idzie o coś więcej niż o jeden uroczy dzień na świeżym powietrzu. Stephen mógł spaść i zabić się. Nieszczęście czeka tuż za drzwiami. Panicznie boję się obłądu, a niewątpliwie gdybym ponownie utraciła dziecko, musiałbyś zamknąć mnie w zakładzie psychiatrycznym.

– Ale przecież wszystko się dobrze skończyło.

– Mogło skończyć się całkiem inaczej. Bądź realistą!

Miała rację. Stephen tylko cudem ocalał. Ale przecież nie oznaczało to, że na życie należy spoglądać jak na absurdalną grę nieprzewidywalnych zdarzeń.

– Pragnę rodziny, Lucy. Chcę, żebyś urodziła mi drugie dziecko. Ale bardziej od rodziny i dziecka pragnę ciebie. Ciebie jedynej. Mojej żony. Wróć do mojego życia, do mojego domu, do mojego łóżka. Nawet gdybyśmy mieli pozostać bezdzietni.

Poruszyła się niespokojnie.

– Och, Troy... – usłyszał jej szept.

Przez chwilę myślał, że odniósł zwycięstwo. Było to jednak złudzenie.

– Nie mogłabym ci tego zrobić. Zaslługujesz na dużo więcej. Pamiętam, jakim dobrym ojcem byłeś dla Michaela. Ale ja panicznie boję się urodzić drugie dziecko. Musisz to zrozumieć.

– Jest wiele sposobów zabezpieczenia się przed zajściem w ciążę – powiedział, czując, że wycofuje się, zanim na dobre podjął walkę.

– Skończyłoby się na tym, że znienawidziłbyś mnie.

Nie mógł już wysiedzieć na krześle. Teraz oboje stali.

– To wykluczone. Za bardzo cię kocham, Lucy.

Wyciągnęła ręce w geście samoobrony, jakby podejrzewała go o chęć zbliżenia się do niej.

– Nie chcę ci odbierać nadziei na ojcostwo. To... nieetyczne. Proszę, odplyń jutro tą łodzią i zostaw mnie samą.

Zawahał się. A nuż miała rację? Może, zostając tu, postawi siebie w sytuacji człowieka, który wali głową w mur? Ostatecznie do pojednania trzeba dobrej woli dwóch stron. Kiedy ostatni raz słyszał z ust Lucy miłosne wyznanie? Już nawet tego nie pamiętał. Rozsądek nakazywał pożegnać się teraz, a jutro opuścić wyspę. Ale czy nie byłaby to zwykła rejterada?

– Nie jestem pewien, czy już wspomniałem ci, że zaproponowano mi ciekawą pracę w Arizonie. Zbliży się termin udzielenia im ostatecznej odpowiedzi. Przyjechałem tu również z myślą, że współdecydujesz ze mną w tej sprawie.

Na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

– Dobrze wiesz, że we wszystkim zostawiłam ci wolną rękę.

– Rozumiesz, że przyjmując tę pracę, musiałbym sprzedać nasz dom – ciągnął, przechodząc do porządku nad jej deklaracją. – Jako współwłaścicielka, musiałabyś wyrazić

zgode. Przypadłaby ci też połowa sumy uzyskanej ze sprzedaży.

– Nie chcę twoich pieniędzy, Troy – odparła zdławionym głosem.

– Pieniądze, o których mówię, musiałabyś przyjąć. A potem mogłabyś wydać je na ochronkę dla bezdomnych kotów lub wrzucić do kanału. Ale przyjęcia tych pieniędzy – zaczynał tracić panowanie nad sobą – nie możesz odmówić!

– Niedawno usłyszałam od ciebie, że jestem strasznie kłótniwa. Ale moja kłótniwość jest niczym w porównaniu z twoją. Zdawałoby się, że słówko „nie” każdy potrafi zrozumieć. Tylko trzy litery, zaledwie jedna sylaba. Jednakże ty z jakichś względów postanowiłaś udawać głuchotę. – Krew napłynęła jej do policzków, a szare oczy stały się prawie niebieskie.

– Dobranoc, doktorze Donovan.

– Przecież, gdy zapukałem, otworzyłaś drzwi i zaprosiłaś mnie do środka. – Powędrował wzrokiem w kierunku łóżka.

– Oczywiście, żeby tylko porozmawiać.

Sapnęła.

– Czy mam wezwać Keitha?

– Chyba tylko po to, żeby uciekł się do fizycznej przemocy. Nie liczysz chyba na jego wymowę. Jeżeli powie ci rankiem „dzień dobry”, to już możesz być pewna, że zużył co najmniej połowę zapasu swych słów.

– Wynoś się! – zawołała, tupiąc nogą.

– Wracam do kwestii sprzedaży domu. Które meble chciałabyś zatrzymać dla siebie? Co z twoją kolekcją muszli i tym prowansalskim krajobrazem? A także z poduszkami, które wyhaftowałaś? Oczywiście, meble z dziecinnego pokoju – dodał ze świadomym okrucieństwem – pójdą do komisju.

– Nienawidzę cię!

– Wspaniale. A teraz coś ci przypomnę. Pamiętasz, co mnie gnębiło, gdy poznaliśmy się na Wyspach Dziewiczych? Oplakiwałem wówczas śmierć mojej siostry, a właściwie nie mogłem pogodzić się z tą śmiercią. Ty jednak podałaś mi rękę i wyciągnęłaś z rozpacz, ukazując mi życie w całej jego pełni. W życiu jest miejsce i na śmierć, i na miłość. Miejsce na radość i na smutek. Nie zostawię cię samej, dopóki tego nie pojmiesz. Chcę ci pomóc, tak jak wtedy ty mi pomogłaś. Gdybym nic w tym celu nie zrobił, nie darowałbym sobie tego do końca życia.

Rozejrzała się wokół, jakby szukając oparcia.

– Nie znałam twojej siostry. Ale Michael był naszym synem. Nie musisz winić siebie za to, że odeszłam.

– A jednak powiedziałem wówczas coś, czego nie powinienem był mówić. Pamiętasz? Powiedziałem, że powinniśmy zdecydować się na drugie dziecko, ponieważ pomoże nam ono otrząsnąć się z przygnębienia. Chciałem jak najszybciej wypełnić życiem tę straszną pustkę

dziecinnego pokoiku. Ale na takie słowa było jeszcze wtedy za wcześnie. Zbyt świeże były rany, które odniosłaś. I dlatego na drugi dzień spakowałaś walizki.

– Prosiłeś wówczas o coś, czego nie mogłam ci dać. I nadal nie mogę.

– Ale wciąż mnie kochasz, prawda?

– To nie ma nic do rzeczy.

– To jest najważniejsze w tym wszystkim! – krzyknął, waląc pięścią w stół.

Jakimże stał się nędzarzem. Niegdyś sycił się do woli tym jej dorodnym, gorącym ciałem i ani na sekundę nie opuszczała go pewność, że jego miłość i pożądanie są odwzajemniane. Dzisiaj nawet nie miał śmiałości zebrać o krótką pieszczotę, gdyż jakikolwiek z nim kontakt fizyczny zdawał się napełniać Lucy śmiertelnym przerażeniem. Kiedy zbliżał się do niej, przypominała mu schwymane w potrzask zwierzę, kulące się na widok myśliwego.

– Miłość jest dla mnie najważniejsza – powtórzył już nieco spokojniejszym głosem. – Kiedy wyjechałaś, zafundowałem sobie trzy dni pijaństwa. Czwartego dnia czułem się jak po dziesięciu rundach na ringu z Muhammadem Ali. – Wykrzywił twarz w uśmiechu pełnym smutnej autoironii. – Teraz zresztą czuję się bardzo podobnie. Wyjadę. Moje żądania wobec ciebie okazały się zbyt wygórowane. Nie chcę, żebyś wróciwszy do mnie, żyła w ustawicznym strachu i pod pręgierzem nieczystego sumienia. W jej oczach zabłyśły łzy.

– Dobranoc, Troy.

Otworzył drzwi i wyszedł w ciepłą pachnącą noc. Jakby ulepiony z wosku księżyc świecił na tle granatowego nieba. Odezwała się sowa.

Poszedł ścieżką ku plaży. Usiadł na kamieniu i zapatrzył się na świetliste błyski migoczące na powierzchni oceanu. Biel światła kontrastowała z czernią wody. Ale życie było samą szarością. Mroczne i niepojęte.

Jak na kogoś, kto dokładnie wiedział, czego chce, nie zbliżył się niestety do upragnionego celu nawet o krok.

Nazajutrz przy śniadaniu pani Mossop ogłosiła wszem i wobec, że kto chce wysłać list, może przesłać go łodzią, która niebawem ma przyplłynąć. Troy skończył posiłek, który tym razem wyjątkowo mu nie smakował, po czym udał się do McManusów, żeby zmienić Stephenowi opatrunek. Kolano nie wyglądało najgorzej, ale chłopiec nie miał szczęśliwej miny.

– Tata uziemił mnie – powiedział. – Nie wolno mi wychodzić z domu przez dwa dni. Jeżeli zobaczysz sowę, opowiesz mi o niej, prawda?

Troy rozejrzał się po pokoju. Wiszące na ścianach półki wypełnione były książkami o ptakach, muszlami, piórami i próbkami minerałów.

– Jasne – odpowiedział, uświadamiając sobie, że podejmuje tym samym ostateczną

decyzję o pozostaniu na wyspie.

Weszła Anna.

– Co z naszym pechowcem? – zapytała, ciepło się uśmiechając.

– Czy aby czasami nie uważasz, że to my ponosimy winę za to, co przydarzyło się wczoraj Stephenowi? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Ależ skądże – odparła, nie kryjąc zaskoczenia. – Odkąd mój syn nauczył się chodzić, niezmiennie zdarza mu się wpadać w różne dziury. Powinien zostać grotołazem. Ja i Keith jesteśmy wam niewymownie wdzięczni za uratowanie go.

Troy spojrział na jej brzuch. Aż nie chciało się wierzyć, że ta drobna i krucha istota zdolna jest dźwigać przed sobą coś takiego.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Zmęczona, a poza tym wszystko w porządku.

– Nie jestem położnikiem, ale lekarska intuicja mi mówi, że rozwiązanie tuż-tuż.

– Jestem innego zdania – powiedziała z przeproszającym uśmiechem. – Stephen urodził się długo po wyznaczonym terminie, a mój termin to początek października.

– Kiedy przenosisz się na ląd?

– W następnym tygodniu. Zatrzymam się u siostry i u niej poczekam na godzinę zero. – Wyszli na korytarz. – Lucy wspomniała mi, że dzisiaj nas opuszczasz. Powiem Keithowi, żeby przygotował rachunek.

A więc Lucy musiała być bardzo pewna siebie, skoro podała ten fakt do publicznej wiadomości, pomyślał Troy. Nagle chwycił go paroksyzm gniewu. Nie da się stąd przepędzić. Na jej upór odpowie swoim uporem. Miał pewien pomysł i postanowił wprowadzić go w czyn.

– Nastąpiło pewne nieporozumienie. Rachunek jest niepotrzebny, gdyż zostaję. Niemniej, czy mogłabyś coś dla mnie zrobić? Jeśli Lucy zapyta cię o mnie, powiedz jej, że wyjechałem z wyspy.

Tym razem oczy Anny spojrzały nań z chłodną rezerwą.

– Jeżeli Lucy nie chce być już dłużej twoją żoną, nie powinieneś jej nękać i nachodzić.

Nie był to punkt widzenia, który przyjąłby za swój na przykład Hubert.

– Myślę, że ona ciągle mnie kocha. Na tym buduję swoją nadzieję i to spróbuję zdemaskować.

– W takim razie usuń z pokoju swoje rzeczy – odpowiedziała, wciąż pełna chłodnej rezerwy. – Lucy sprząta pokoje po wyjeździe gości i chyba nie chcesz, żeby podstęp się wydał.

Troy czuł się parszywie. Wiedział, że Anna została jego współniczką tylko z tego powodu, że uratował jej syna.

– Dzięki.

Wróciwszy do swego pokoju, skreślił krótki list do Instytutu Medycznego w Arizonie i

włożył go do koperty razem z pewną sumą pieniędzy. Następnie spakował wszystkie swoje rzeczy, torbę zaś schował do szafy stojącej w pustym pokoju obok. Po kilkunastu minutach był już na przystani.

Clarence wyładowywał właśnie towary ze swojej łodzi, Keith zaś prznosił je na małą przyczepkę, przytwierdzoną do osi tylnego koła motoroweru. Troy uznał, że nie będzie stał i gapił się, postanowił pomóc w pracy. Kiedy wszystkie pudła i torby znalazły się już na przyczepce, Keith kiwnął głową w podzięcie, pożegnał się i odjechał w stronę hotelu.

Troy wręczył Clarence'owi kopertę, po czym wyjaśnił, czego po nim oczekuje.

– Nie ma sprawy – odparł Clarence. – Keith odjechał w przekonaniu, że zabierasz się ze mną.

– Nie. Zostaję tu co najmniej jeszcze przez tydzień.

– Odepchnij mnie, chłopie, od brzegu, żebym mógł... Chwileczkę, zaczekaj. Widzę Huberta.

Hubert zdążył szybkim krokiem ku przystani, wymachując paczką listów.

– Nawalił mi budzik – wysapał, przysiadając na dziobie łodzi Clarence'a. – Na szczęście dopadłem cię jeszcze. Ty wciąż tutaj, Troy? Myślałem, że już ją dawno porwałeś na ląd. Rozczarowałeś mnie, doktorze. – Z jego otwartych szeroko ust wydobył się chrapliwy śmiech.

Śmiał się jeszcze wówczas, kiedy Clarence, zabrawszy pocztę i skorzystawszy z ich pomocy przy spychaniu łodzi, odpłynął.

– Słyszałem w hotelu plotki o twoim odjeździe, Troy.

– Fałszywe.

– Czyżby okazała się upartą kobietą?

– Jej zdaniem, to ja muszę wyleczyć się z uporu.

– Wiesz, stoi przed tobą zatwardziały stary kawaler. Ale gdybym zwariował i, powiedzmy, zdecydował się na małżeństwo, wybrałbym sobie kobietę z charakterem. Sęk w tym, że kobiety z charakterem nie zawsze robią to, co odpowiadałoby ich mężom. Dlatego jedyne dla ciebie rozwiązanie tej łamigłówki to przemoc fizyczna. Czyli klasyczne porwanie.

– Słowem, chcesz mnie wpakować do więzienia. Czasy, kiedy jeździec zniknął za widnokretem z porwaną dziewczyną, już dawno minęły.

– Tym gorzej dla naszej epoki. Bo wtedy faceci byli naprawdę facetami. A nie mięczakami, co to podchodzą do kobiety z pięknym słówkiem i z cielecym uśmiechem.

– Wiele kobiet, szczególnie tych z charakterem, miałoby sporo do zarzucenia takiemu stwierdzeniu.

Hubert wyciągnął z kieszeni chusteczkę wielkości sporego obrusa i wydmuchał w nią nos. Słyszając jego kichnięcia, można było pomyśleć, że to grzmoty zapowiadające burzę.

– Myślę, że powinienes poznać Quentina. Warto by go wysondować. Wprawdzie czuję, że

między nim a Lucy nie ma dość gorąca, żeby od razu myśleć o jedzeniu lodów, ale z tymi artystami nigdy nic nie wiadomo. Rozumiesz, gołe modelki, czerwone wino i światło palące się przez całą noc. Wy tłumacz mi, jak trafić do niego?

Spotkanie z Quentinem nie było dla Troya sprawą priorytetową, mimo to schował do kieszeni nakreśloną odręcznie przez Huberta mapkę wyspy z zaznaczonym na niej domem malarza.

– Potem opowiesz mi, czego się doszperałeś. – Oczy Huberta świeciły niczym oczy żbika na widok wiewiórki. – I uważaj na siebie. Zapowiada się gęsta mgła.

Troy zwrócił już uwagę na kłębiącą się na horyzoncie mleczną szarość.

– Mieliliśmy dziś księżycową noc.

– Tutaj pogoda potrafi się zmienić kilka razy w ciągu dnia. A ta mgła może być gęstsza od puchu na kaczym kuprze. Z taką mgłą nie ma żartów, chłopie. – Kiwnął głową i pomaszerował wprost na latarnię morską.

Troy został na miejscu, przysłuchując się pluskowi płytkich fal uderzających o deski przystani. Nie miał ochoty na widzenie się z Quentinem. Wciąż miał przed oczami zdjęcie, które pokazał mu Hubert. Śmiejący się grecki bożek z jego ukochaną Lucy – oboje w kostiumach kąpielowych. Chętniej widziałby Quentina powołanego do wojska, ubranego w mundur i przechodzącego okres rekrucki.

A może Lucy jest zakochana w Quentinie?

Zadał sobie to pytanie, które go zabolalo i natychmiast pobiegł plażą w kierunku przeciwnym do latarni morskiej. Chciał oszołomić się biegiem i wiatrem, co mu się zresztą częściowo udało. W ogóle zachowywał się jak chory z miłości nastolatek.

Wracał drogą przez las. Jakiś ptaszek przefrunął ponad jego głową i usiadł na leśnej ściółce w pobliżu. Jął grzebać w liściach i czynić taki hałas, jakby co najmniej był szopem. Ubarwieniem i kształtem ciała przypominał jemioluszkę, ale nie miał na głowie charakterystycznego czuba. Troy musiał przyznać w duchu, że ciągle niewiele wie o ptakach.

Piaszczysta ścieżka w pewnym miejscu wychodziła z lasu i biegła jego skrajem. Po prawej rozciągał się szeroki widok na plażę i ocean. Samotny stary świerk rósł w połowie drogi pomiędzy linią brzegową a zwartą ścianą drzew. Troy dostrzegł pod nim kobiecą postać. Oparta plecami o pień, kobieta topiła wzrok w oceanicznej dali, jakby wypatrując powrotu ojca lub męża żeglarza. Na jej twarzy malowało się wyczerpanie, a może raczej głównie rezygnacja. Cała jej sylwetka świadczyła też o bezradności i bezsile, mimo że piękno jej dojrzałej figury zaprzeczało takiej interpretacji. Kobieta tą była Lucy.

Niewątpliwie odeszła tak daleko od domu, żeby zapewnić sobie samotność. Widocznie bardzo potrzebowała tej samotności i stąd jedyne, co on, Troy, mógł w tej chwili zrobić, to przejść jak najciszej za jej plecami i zostawić ją tutaj sam na sam ze sobą.

I na pewno tak by uczynił, gdyby nie sójka. Musiał ją przestraszyć, gdyż nagle poderwała się z najbliższego drzewa i z okropnym wrzaskiem uleciała w powietrze. Lucy odwróciła głowę. Został zdemaskowany.

Podbiegł do niej. Teraz już z bliska zobaczył jej bladą twarz i rozszerzone, prawie nieprzytomne oczy.

– Keith powiedział, że zabrałeś się z Clarence'em – wyszeptała zdrętwiałymi wargami.

– W ostatniej chwili zmieniłem zamiar.

Nie słuchała go.

– I wyjechałeś tak bez słowa pożegnania, bez jednego znaku cieplejszych...

– Lucy, ja...

– Zaszłam do twojego pokoju, żeby oblec czystą pościel. Poduszki zachowały zapach twego ciała.

– Lucy, kochanie...

– Dlaczego zostałeś? – Wciąż wyglądała na dopiero co obudzoną z głębokiego snu..

Troy poczuł, że liczy się teraz tylko prawda.

– Nigdy na serio nie myślałem o wyjeździe. Chciałem przekonać się, czy...

Jęknęła.

– A więc był to tylko podstęp, rozmyślna gra, okrutne naigrawanie się ze mnie?

– Lucy, przyznaję, zachowałem się bardzo głupio...

– Miałam być takim ptaszkiem, którego się podchodzi, a potem z ukrycia obserwuje przez lornetkę, by poznać jego zachowanie.

– Nie mam żadnej lornetki. Natknąłem się tu na ciebie przez czysty przypadek. Chciałem nawet przejść nie zauważony, ale przestraszyłem sójkę i wówczas ty...

– Przestań karmić mnie bajeczkami. Może i jestem głupia, ale nie aż tak bardzo.

– Powtarzam: nie szpiegowałem cię.

Jej chorobliwie blada twarz zapłonęła ogniem.

– Zmieniłeś się, Troy. Niegdyś w postępowaniu ze mną kierowałeś się wyłącznie uczciwością i honorem. Teraz wybierasz podstęp i fałsz. Już nigdy nie będę mogła w pełni ci zaufać.

On też nie był z kamienia i żelaza. Reagował jak każdy człowiek.

– W sytuacji, gdy nie chcesz mnie znać i odpychasz od siebie, jest to wyłącznie akademicka dyskusja.

– Gdybym była mężczyzną, spralabym cię na kwaśne jabłko. Czy wiesz, jak się czuję w tej chwili? Jakby zdarto ze mnie ubranie na oczach obcych ludzi.

Zacisnął zęby.

– Więc ja jestem obcy dla ciebie?

– Nigdy ci nie wybaczę tych gier i podchodów. Możesz zostać sobie na wyspie choćby i do zimy, lecz między nami koniec. Żadnych rozmów, żadnych spotkań. Tylko „dzień dobry” i „dobranoc”. A teraz wracaj do hotelu, Troy. Rozpakuj swoją torbę i rozgość się w swoim pokoju. Rób zresztą, co chcesz, lecz ani mi się waź włączyć za mną.

Nie przeszła obok niego, tylko ominęła go szerokim łukiem, niczym węża, który kąsa i zabija jadem, by następnie ruszyć w kierunku, skąd przybył.

Stał w miejscu i długo odprowadzał ją wzrokiem. Uczynił rzecz potworną. Doprowadził do tego, że Lucy znienawidziła go i czuła jedynie pogardę. Ale odniósł też pewne zwycięstwo. Wiedział już, że tak reaguje tylko kobieta, która kocha. Źródłem siły erupcji tego wulkanu imieniem Lucy mogła być tylko miłość.

Podstęp mimo wszystko opłacił się.

Rozdział 6

Zgodnie z przepowiednią Huberta, mgła nie dała na siebie długo czekać. Tuż po lunchu cała wyspa pogrążyła się w jej nieprzejrzanym i kłębiącym się sinawym tumanach. Ptaki umilkły. Zaległa dziwna cisza.

Po godzinnej grze w karty ze Stephenem, Troy udał się do swojego pokoju, by trochę sobie poczytać. Próbował nie myśleć o Lucy. Bronił się też przed ostateczną oceną swojego postępowania, które bynajmniej nie przybliżyło go do upragnionego celu. Zamierzał spędzić resztę dnia na lekturze sensacyjnej powieści Toma Clancy'ego.

Na dobre już zadomowił się w świecie agentów CIA, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Weszła Anna. Na jej twarzy malował się niepokój.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał Troy, odkładając książkę i podrywając się z łóżka.

Jakoś wciąż nie mógł opędzić się od myśli, że Anna ryzykuje swoim zdrowiem, zostając na wyspie.

– Ze mną wszystko w porządku, ale może wiesz lub domyślasz się, gdzie jest Lucy?

– Nie mam pojęcia. Ostatni raz widziałem ją dobrych kilka godzin temu.

Anna poruszyła się niespokojnie.

– Powinna była zjawić się w kuchni już godzinę temu. Jest bardzo obowiązkowa. Spóźnianie się nie leży w jej zwyczajach.

– Sądzisz, że mogła się zgubić? – zapytał, choć w istocie wyraził tylko własną obawę. – Zajrzałaś do jej domku? A może jest u Huberta lub Quentina?

– Rozmawiałam dopiero co z Quentinem przez komórkowy telefon. W ogóle jej dzisiaj nie widział. Keith skontaktował się z Hubertem i otrzymał taką samą odpowiedź. Pani Mossop widziała ją po raz ostatni podczas śniadania. Ornitologzy grzeją się przy kominku... z powodu tej gęstej mgły mogą dziś tylko rozmawiać o ptakach.

– Po raz ostatni widziałem Lucy w miejscu odległym o jakieś dwa kilometry od przystani. Poszła na północ w kierunku klifów... – Przerwał na chwilę, a potem zdobył się na wyznanie: – Była bardzo zdenerwowana tym moim pozorowanym odjazdem. Nie rozumiem, jak w ogóle mogłem wpaść na taki szczeniacki pomysł?

– Spotkałam ją w chwilę po tym, jak skończyła sprzątanie twojego pokoju. Wyglądała niczym po ciężkiej chorobie.

Troy poczuł na swoim sercu żelazną obręcz.

– Jestem pewien, że nie zapomniała o tych bagienkach i szczelinach na płaskowyżu, o których wspomniał nam Stephen. Niemniej jest bardzo prawdopodobne, że zagubiła się we mgle.

– Aż boję się o tym myśleć, ale mgła jest tak gęsta, że można iść tamtą łąką i wcale nie wiedzieć, gdzie człowiek się znajduje.

Obręcz na sercu Troya zacisnęła się. Sięgnął po kurtkę.

– Idę jej szukać. Będę poruszał się na północ, idąc wschodnim wybrzeżem. Powiedz Keithowi, żeby ruszył w tym samym kierunku, ale po zachodniej stronie.

– Dobrze. I poproszę Quentina, żeby przeczesał okolice latarni morskiej i rewiry, gdzie gnieźdzą się petrele. Ornitologowie też się nam przydadzą. Wyślę ich w rejon błot i stawów w głębi wyspy. – Położyła dłoń na ramieniu Troya. – Nie wiń siebie za to, co się stało. Głowa do góry. Odnajdziesz swoją ukochaną.

– Moją ukochaną?

– Przecież wszyscy tu wiedzą, jak bardzo ją kochasz. Nie zapomnij latarki. Keith weźmie syrenę i da ci znać, jeśli pierwszy natknie się na Lucy.

Ostatecznie Troy zdecydował się osobiście porozmawiać z Keithem. Omówili niezbędne szczegóły i trasy, którymi mieli podążać. Nieco uspokojony rzeczowością i stoicyzmem Keitha, Troy zaczął się pakować. Włożył do plecaka kilka tabliczek czekolady, zapasowy sweter, latarkę oraz termos z kawą. Był gotów. Po chwili szedł już ścieżką w kierunku plaży.

Tę ścieżkę znał na pamięć. Ale mgła była tak gęsta, że dalej, już za przystanią, sam będzie musiał się liczyć ze zgubieniem kierunku. Szansa odnalezienia w tych warunkach Lucy praktycznie równała się zeru.

Musiał jednak ją odnaleźć. Był bowiem, wbrew ocenie Anny, odpowiedzialny za to, że znalazła się w tak trudnym położeniu. Sama, poza domem, we mgle.

Idąc, poruszał się w ciasnym kręgu względnej przejrzystości. Wiedział, że po prawej ręce ma morze, ale mimo że słyszał fale, nie widział ich. Drzewa wyłaniały się nagle, niemal tuż przed jego nosem, i każde stanowiło pewnego rodzaju niespodziankę. Towarzyszyło mu poza tym najdziwniejsze ze wszystkich poczucie samotności. Pomyślał, że czegoś podobnego – zagubienia w bezkresnej pustce – może tylko doświadczać pilot statku kosmicznego.

Od czasu do czasu przystawał i wykrzykiwał jej imię. Ale krzyk wsiąkał w mgłę niczym w gąbkę. Lucy mogła być na odległość rzutu kamieniem i mogła słyszeć tylko ciszę. Coraz poważniej Troy zaczynał myśleć o mgle jak o bezkształtnym potworze.

Po pewnym czasie stwierdził, że ma mokre ubranie. Na kurtce perliły się kropelki rosy, przemoczone do kolan dżinsy kleiły się do łydek, z włosów spływały na policzki i czoło wąskie i kręte strumyki. Kiedy po raz ostatni widział Lucy, była ubrana tylko w dżinsy i bawełnianą koszulkę typu T-shirt. Nie miała też nic do picia i jedzenia. Stał i po raz kolejny wykrzyknął jej imię. Odpowiedziała mu cisza.

Dawno już minął drzewo, pod którym rozmawiali, a potem rozstali się. Minął też skalisty wzgórek, z którego niegdyś on i Stephen obserwowali kaczki i nury, oraz ścieżkę wiodącą do

ślono-wodnych ostoi czapli siwej. Ornitologowie powinni zdążyć już do tego miejsca od zachodniej strony. On miał swoją trasę, której musiał się trzymać.

Niekiedy swoim krzykiem płoszył ptaki. Podrywały się z ziemi lub z gałęzi drzew tak blisko niego, że z przestachu aż stawało mu serce. Prędko jednak trzepot ich skrzydeł tłumiała mgła i znów wszystko stawało się ciszą.

Ścieżka znów oddaliła się od brzegu i weszła w las, który jednak powoli zaczynał rzednąć. Troy poczuł ucisk w gardle. Zbliżał się do zdradliwej łąki. Gdy przed godziną rozmawiał z Keithem, ten nie ukrywał przed nim, że rejon bagienek uważa za najbardziej niebezpieczny na wyspie.

Na skraju lasu zatrzymał się. Przed nim rozciągał się dywan z traw, polnych kwiatów i alpejskich ziół. Widział go w wyobraźni, którą wspomagała pamięć, gdyż mgła ograniczała pole widzenia jedynie do kilku metrów.

Lecz te ślady natychmiast rzuciły mu się w oczy. Biegły w kierunku północno-wschodnim, czyli na skos przez łąkę. Kto je zostawił? Czy któryś z ornitologów, niepomny niebezpieczeństwa, mimo że został o nim uprzedzony, czy też Lucy, która przechodząc tędy, być może coś dostrzegła, i to coś niezwykłego i ekscytującego, skoro zdecydowała się wkroczyć na zakazany teren? Bo niewątpliwie ten pas zgniecionej, podeptanej trawy pozostawił po sobie człowiek.

Troy posiadał coś jeszcze oprócz latarki. Grubą szpulę czerwonej plastikowej taśmy, którą na odchodnym dostał od Keitha. Taśma ta, niczym nić Ariadny, miała mu pomagać w odnajdywaniu zagubionej drogi. Troy uznał, że nadarza się wreszcie sposobność jej użycia. Przycisnął koniec taśmy sporych rozmiarów kamieniem i pozwalając szpulę obracać się na stalowym trzpieniu, ruszył śladem wyciśniętym w miękkiej trawie.

Nic nie zakłócało martwej ciszy łąki. Nigdzie ani jednego krzaczka lub drzewa, które stanowiłoby drogowskaz i punkt orientacyjny. Wokół pustka aż po same kosmiczne przestrzenie. Troy w pewnym momencie przyłapał się na tym, że igra z pokusą obejrzenia się za siebie. Rozbudzona wyobraźnia podsuwała mu bowiem różne upiorne obrazy, a wśród nich parę płonących, śledzących go oczu.

Skoro on ulegał atmosferze tego miejsca, to w jakim duchowym i psychicznym stanie musiała w tej chwili znajdować się Lucy? Wykrzyknął jej imię. Żadnej odpowiedzi.

Wreszcie ukazały się bagienka, i to od razu dwa. Dzielili je porośnięta trawa grobla. Ślady, którymi podążał, biegły właśnie tą groblą. Już nie miał żadnych wątpliwości, że zostawiła je Lucy. Podłoże w tym miejscu było bowiem raczej grząskie i tu i ówdzie przechował się odcisk buta. Taki mały rozmiar obuwia mogła nosić jedynie kobieta lub dziecko. Jedyne dziecko na tej wyspie zostało w hotelu. Okazało się, że od samego początku był na właściwym tropie.

Zatrzymał się przy kępcie jakichś białych kwiatków i, nabrawszy w płuca powietrza,

wykrzyknął w mleczną przestrzeń imię swojej żony.

Odpowiedź nadeszła z lewej strony. Jednak tak cicha, że przypominała raczej słauiutki pisk błotniaka łąkowego.

Serce skoczyło Troyowi do gardła. Zawołał jeszcze dwa razy, pragnąc upewnić się, czy nie uległ słuchowemu omamowi. Nie, odpowiedź na drugie zawołanie była nawet całkiem wyraźna.

Z chęcią rzuciłby się na łeb, na szyję w tamtą stronę. Niestety, znajdował się teraz w bagnistym terenie i musiał poruszać się ze szczególną ostrożnością. Trzciny, cuchnące siarką oczka wodne, gdzieniegdzie karłowaty krzew, którego czarne bezlistne gałęzie wyglądały niczym gigantyczne pijawki – oto, co znajdowało się w sercu tej idyllicznej łąki. Skacząc z kępy na kępę, Troy cały czas musiał uważać, żeby nie zerwać plastikowej taśmy. W rezultacie posuwał się nawet wolniej od ratownika w Himalajach.

Zobaczył Lucy całkiem nieoczekiwanie. Jeszcze przed sekundą nie było jej w polu widzenia, a tu jeden skok i Lucy nagle ukazała się.

Siedziała skulona na trawie, a jej ciało dygotało, jakby wśród tych bagien i moczarów już zdążyła nabawić się febry.

Zostało jej bodaj tylko tyle sił, by wstać i rzucić się w jego ramiona.

Ogarnął ją, przytulił do siebie i natychmiast zaczął rozcierać jej skostniałe ciało. I stała się rzecz dziwna. Nie czuł w sobie ani śladu pożądania, tylko troskę i czułość.

– Już dobrze, moje ty kochanie. Jesteś bezpieczna. Kocham cię i przysięgam, że już nigdy nie postąpię z tobą tak, jak dzisiaj rano. A teraz ściągaj tę mokrą szmatę. Byle szybko i bez fałszywego wstydu. Mam w plecaku sweter, jak również gorącą kawę w termosie. Przed wszystkim musisz się rozgrzać.

Spod przemoczonej bawełnianej koszulki wyłoniły się bujne piersi, by szybko zniknąć pod swetrem. Na sweter nałożył swoją kurtkę, z którą rozstał się z taką radością, jakby to nie on dawał, tylko jemu dawano.

Po wypiciu dwóch kubków gorącej kawy, Lucy wreszcie przestała dygotać i szczękać zębami.

– A teraz powiedz mi, jak się znalazłaś w tym koszmarnym miejscu?

Spojrzała na Troya z miną dziecka, które nabroilo.

– Gdy się rozstaliśmy, poszłam prosto przed siebie. Chciałam zgubić gdzieś po drodze gniew, który mnie przepęlniał, i rozpacz, która odbierała mi ochotę do życia. Tak doszłam aż do klifów i faktycznie znalazłam tam pewne ukojenie. W drodze powrotnej, idąc skrajem łąki, ujrzałam białą czapkę. Kto nie widział tego ptaka, nie potrafi wyobrazić sobie jego niezwyklej urody. Była tak piękna, tak nieskalana w swej bieli i tak wdzięczna w ruchach, że musiałam wręcz podejść bliżej, aby nasycić oczy jej widokiem. I nagle ogarnęła mnie mgła. Straciłam

rozeznanie stron świata. Już po kilkudziesięciu metrach zorientowałam się, że idę nie w tym kierunku, co trzeba. Wpadłam w panikę. Zaczęłam krążyć i szukać swoich własnych śladów. Bagien i oczek wodnych przybywało. W końcu opadłam z sił i usiadłam na ziemi. Uznałam, że tak będzie najlepiej dla mnie i dla tych, którzy wyruszą mi na pomoc.

– Mądra dziewczynka – rzekł, gładząc Lucy po mokrych włosach. – A teraz musimy ruszać w drogę powrotną, by powiadomić innych, że zguba się znalazła. Keith, Quentin i ornitolodzy błąkają się w tej chwili po wyspie niczym potępione dusze.

– Ależ narozrabiałam – westchnęła.

– Nie przeczę – przyznał Troy.

Obdarzyła go łobuzerskim uśmiechem.

– Ale ta czapla była naprawdę prześliczna.

Drogę powrotną wskazywała im czerwona taśma, którą z kolei trzeba było nawijać na szpulę. To niewątpliwie wpływało na wolne tempo ich marszu, lecz Troy tym razem nie reagował niecierpliwością, jak wówczas, kiedy szedł sam. Miał przy sobie Lucy, a mając ją przy sobie, miał cały świat. W tej sytuacji nie musiał nigdzie się śpieszyć. Pchało go do przodu jedynie poczucie obowiązku, aby jak najszybciej powiadomić wszystkich, którzy nadal szukają Lucy.

Przyśpieszyli kroku dopiero na leśnej ścieżce. W pewnym momencie Lucy potknęła się o wystający korzeń drzewa, Troy podtrzymał ją za ramię, ona zaś pocałowała go w same usta.

– Moja matka zawsze mi mówiła, że najpierw coś robię, a potem dopiero myślę – powiedziała, okrywając się rumieńcem.

– Ja też najpierw coś zrobiłem, a teraz dopiero myślę. Myślę b tym, czego właśnie nie zrobiliśmy. Otóż nie kochaliśmy się na tych bagnach.

Rumieniec Lucy pogłębił się.

– Jestem na to zbyt lękliwą kobietą.

– Ale kobietą, która nadal mnie kocha, prawda?

– Tak, Troy, nadal cię kocham, ale to bynajmniej nie rozwiązuje naszych przeklętych problemów. Przeciwnie, raczej je komplikuje.

Poczuł radość i ulgę. Miał już to, czego pragnął najbardziej – jej miłosne wyznanie. Teraz musiał tylko uważać, by w swoim postępowaniu z Lucy trzymać się cnoty roztropności.

– W najbliższych dniach nigdzie nie wyjeżdżam. Nie musimy się śpieszyć. Zdecydujemy o wszystkim w odpowiednim momencie.

Zmierzchało już, kiedy dotarli na miejsce.

– Kochanie, weź teraz gorącą kąpiel i marsz do łóżka. Za kilka minut zjawię się u ciebie z filiżanką gorącego bulionu. I tylko nie całuj mnie na dobranoc, bo, uprzedzam, nie gwarantuję za siebie.

Westchnęła i melancholijnie uśmiechnęła się.

– Ależ wszystko się poplątało. Mówisz do mnie, jakbym była twoją sympatią, a nie żoną. Przepróż w moim imieniu Keitha i Annę. Naprawdę mi przykro, że spowodowałam tyle zamieszania.

Troy wszedł do hotelu dopiero wówczas, gdy za Lucy zamknęły się drzwi jej domku. Zastał w holu całe towarzystwo. Ornitologzy i Keith wrócili z wyprawy dosłownie przed kilkoma minutami.

– I jak? – zapytał Keith, jak zwykle oszczędny w słowach.

Troy złożył szczegółową relację. Nie zapomniał też o przekazaniu przeprosin.

– Najważniejsze, że jest cała i zdrowa – powiedział Keith, i było to chyba najdłuższe zdanie, jakie Troy słyszał z jego ust.

– Przekaż tej wędrowniczce – odezwała się Anna – iż zabraniam jej pokazywać się jutro w kuchni przed jedenastą. Śniadanie biorę na siebie.

– Dzięki za przyjaźń, jaką ją obdarzacie.

– Dobrze, że wspomniałeś o przyjaźni, Troy. Bo przede wszystkim jest naszą przyjaciółką, a potem dopiero pracownicą.

– **Racja** – przypieczętował Keith słowa żony.

– Lepiej zadzwoń do Quentina, Keith – powiedziała Anna. – Biedak niczego jeszcze nie wie i niepokoi się.

Jeszcze dziś rano niepokój Quentina wprawiłby Troya w bardzo zły humor. Lecz teraz malarz nie był już jego rywalem. Troy wiedział bowiem, że jest kochany i że miłość Lucy jest niepodzielna.

Kwadrans później Troy stał już przed drzwiami drewnianego domku. Lucy otworzyła mu w błękitnym szlafroku, wykąpana i pachnąca. Wręczył jej tackę z filiżanką bulionu i rozejrzał się za jakimś krzesłem. Ostatecznie jednak postanowił nie siadać.

– Anna zabroniła ci pojawiać się jutro w kuchni przed jedenastą. Keith przeżył przed chwilą sekundę słownej erupcji. Zdaje się, że wybaczone **ci**.

– Usiądź, proszę. Nie chcę, żebyś stał, gdy ja będę jadła.

Wolałby innego typu zaproszenie, ale i to sprawiło mu przyjemność. Usiadł przy stole i spojrzał w czarny kwadrat okna. Tam była noc i mgła, tu – oświetlony, bezpieczny krąg, a w tym kręgu on i Lucy. Czy czegoś wspanialszego mógł w ogóle żądać od losu?

– Dziś rano – powiedział – wręczyłem Clarence'owi wiadomość, którą miał przefaksować do Instytutu Medycznego w Arizonie. Moją odmowną odpowiedź. Zrozumiałem, że przyjęcie propozycji byłoby formą ucieczki.

Lucy, nie donosząc filiżanki do ust, odstawiła ją z powrotem na spodek.

– Więc nie sprzedasz domu?

Potrząsała głową, a potem spojrzała jej prosto w oczy.

– Czy kiedykolwiek zdradziłaś mnie z Quentinem?

Odchyliła się i opadła na oparcie krzesła.

– Troy, co ty wygadujesz? Nie mogłabym cię zdradzić co najmniej z dwóch powodów. Oba znasz. Boję się ciąży w ciąży i nadal cię kocham.

Nie wyglądała w tej chwili bynajmniej na kochającą kobietę. Raczej na kłótniawą sekutnicę. Jednak Troy uwierzył jej natychmiast. Ogromny ciężar spadł mu z serca.

– Zapytałem o Quentina pod wpływem pewnych sugestii Huberta, który skierował na tego malarza moje podejrzenia.

– Hubert wie tyle o Quentinie, co ty o gajówce pokrzewce ogrodowej.

– Wierzch ciała brunatnawoszary, spód szarawobiały. Zamieszkuje biotopy o...

Wybuchnęła serdecznym śmiechem.

– To wystarczy. Stawiam ci piątkę. Czegoś jednak nauczyłeś się na tej wyspie. Poza tym Hubert to męski szowinista.

Ocenia kobiety jedynie pod kątem ich płodności. – Nagle jej twarz odzyskała powagę. – Tak mi przykro, Troy. Byłam dla ciebie okropna przez ten ostatni rok. Chociaż i mnie nie było łatwo.

Niespokojnie poruszył się na krześle. Rozbił już tyle blokad, którymi Lucy odgradzała się od niego, iż wręcz nie wolno mu było kapitulować przed ostatnią.

– Musimy porozmawiać o Michaelu! – wyrzucił z siebie na jednym oddechu.

Zareagowała, jak gdyby ugodził ją jakimś ostrym narzędziem.

– Tak, tak... Myślę, że powinniśmy.

Było to z jej strony ogromne ustępstwo.

– Ale nie dzisiaj, kochanie. Teraz przede wszystkim musisz się wyspać. Zobaczymy się jutro po jedenastej.

– Dobranoc – wyszeptała, zaskoczona nieco takim obrotem spraw. – Cieszę się, że mogę być tutaj, a nie na tych bagniskach. Ale podwójnie cieszę się z tego, że to właśnie ty odnalazłeś mnie...

– Tak po prostu powinno być. Mąż musi dbać o swoją żonę.

Pożegnał się i z sercem wypełnionym uczuciem radości wyszedł w noc i mgłę. Szedł przez trawnik ze świadomością odniesionego zwycięstwa. Lucy go kochała i pozostała mu wierna. A na tym już śmiało mógł budować wspólną z nią przyszłość.

Nazajutrz po śniadaniu Troy postanowił odwiedzić Quentina. Był mu winien podziękowanie za wczorajszy udział w poszukiwaniach, jak również ciekaw był go po prostu

jako człowieka. Bądź co bądź, Quentin istniał dla niego przez kilka ostatnich dni jako problem i wyzwanie.

Mgła przerzedziła się, zaś mapka Huberta okazała się wyjątkowo przejrzysta i dokładna. Nie miał więc najmniejszych trudności z trafieniem na miejsce.

Ściany i dach domu Quentina pokryte były cedrowym gontem. Dwa solidne kominy zaświadczały o tym, że zimą gospodarz potrafi bronić się przed zimnem. Kilka kwitnących krzewów róż urozmaicało otoczenie. Wiodąca ku frontowym drzwiom ścieżka wysypana była żwirem.

Ale Troy wcale nie musiał pukać do tych drzwi.

Otworzyły się same i stanęła w nich Lucy.

W pierwszym odruchu paniki chciał dosłownie uciekać. Ale przykuły go do miejsca zazdrość, gniew i ból.

– Co ty tu robisz? – zapytała Lucy, nie mniej zdumiona od niego.

– O to samo mógłbym cię zapytać.

– Przyszłam prosić Quentina o radę.

– A ja przyszedłem go poznać. – Na szczęście zaczął już odzyskiwać panowanie nad sobą.

W szerokim werandowym oknie, zajmującym niemal pół ściany, pojawił się mężczyzna. Trzymał w ręku pędzel.

– Dzień dobry – pozdrowił go Troy. – **Jestem** mężem Lucy i nazywam się Troy Donovan. Przeżyłem już pierwszą niespodziankę tego dnia. Lucy miała spać dzisiaj do jedenastej, a tymczasem przed dziesiątą zastaję ją u pana. – Wszystko to powiedziane zostało w formie żartobliwej, bez cienia pretensji.

Malarz uśmiechnął się, kiwnął głową i znikł we wnętrzu domu. Po chwili pojawił się przed Troyem. Uścisnęli sobie dłonie.

– Jestem Quentin. Miło cię poznać, Troy. Najlepiej będzie, jeśli od razu przejdziemy na ty. Lucy sporo mi o tobie mówiła.

Quentin miał czarne długie włosy, lekko kręjące się nad uszami. Ubrany był w dżinsy i różową flanelową koszulę, poplamioną farbami. Trochę niższy od Troya, mógł się za to pochwalić piękniejszą muskulaturą. W sumie przedstawiał sobą typ gwiazdora filmowego. Jeśli Lucy faktycznie opierała się dotąd takiemu mężczyźnie, to on, Troy, mógł sobie pogratulować żony.

– Mówisz, że Lucy opowiadała ci o mnie? A jak? Pozytywnie, krytycznie czy też z rzeczową obojętnością?

– Rzadko kiedy obojętnie. Najczęściej emocjonalnie. Zapraszam do środka. Lucy, poczęstuj swojego męża kawą.

Wzruszyła ramionami.

– Nie ma już czystych filiżanek, a ja, jak wiesz, wzięłam już rozbrat ze zmywaniem u ciebie.

– Kiedy skończę ten obraz, chyba szarpnę się na zmywarę. Chodź, Troy. Pokażę ci to płótno. Pomyśl takiego tematu wyłonił się z długich rozmów z Lucy.

Zaprowadził Troya do wnętrza, pełnego zapachu farb i terpentyny, i ustawił go przed sztalugami. Troy spojrział na obraz bez większej wiary w to, czy potrafi właściwie ocenić dzieło malarskie.

Ale to nie było dzieło, tylko pięść, która grzmotnęła go w szczękę.

Pokój zawirował.

Obraz przedstawiał okno, za nim padający śnieg, a na pierwszym planie stała kobieta. Wokół niej pusty pokój. Pusty pustką absolutną, prawie że metafizyczną. Takiej pustki nie można zobaczyć. Można ją tylko wyrazić środkami artystycznymi.

A więc pusty pokój. Kogoś w nim ubyło. Ktoś tu przestał gaworzyć...

Michael, jego najukochańszy synek...

Rozdział 7

Troy poczuł, że po policzkach ciekną mu łzy, a w piersiach wzbiera krzyk. A potem zobaczył Lucy – stanęła pomiędzy nim a sztalugami, jak gdyby chcąc go zasłonić swym ciałem, niczym tarczą, przed wstrząsającą wymową obrazu.

Chwyliła go za ramię.

– Troy, kochany, nie patrz w ten sposób, bo nie zniosę tego. Quentin, dlaczego mu to pokazałeś? Troy, mój najdroższy, spójrz na mnie.

Obraz druzgotał swoją symboliką, bo druzgocze nicość spozierająca ze wszystkich kątów, lecz równocześnie fascynował i przykuwał spojrzenie, bo fascynuje zagadka niebytu. W końcu jednak Troy znalazł w sobie dość siły, by odwrócić wzrok od pustego pokoju za plecami samotnej kobiety i przenieść go na Lucy.

– Sądzisz, że przestaniemy kiedykolwiek za nim tęsknić? – zapytał.

– Nie – wyszeptała.

– W ostatnich miesiącach zachodziłem dość często do pokoju Michaela. Patrzyłem na grzechotkę lub tę wielką dmuchaną rybę z ogonem w kształcie półksiężyca i czułem, że poprzez te martwe rzeczy przedzieram się do niego.

Załkała, ale łza, którą starła, płynęła nie po jej policzku, ale po twarzy Troya..

– Zmieniłeś się, Troy. Zawsze będziesz dla mnie najprzystojniejszym mężczyzną na świecie, ale przez ten okres naszego rozstania przybyło ci lat. Widzę na twoich skroniach siwe włosy, których przedtem nie było.

– Nie masz monopolu na cierpienie – odparł z goryczą.

– Tak, ale zgryzota czyni nas egocentrykami. Każdy jest skupiony tylko na własnym bólu. Dlatego właśnie odmawiałam ci dotąd współczucia i zrozumienia. Wiesz, co chcę ci powiedzieć? Rozumiesz, o czym mówię?

– Najzupełniej, Lucy. I wiem, że trudno na to cokolwiek poradzić. Ty byłaś sama i ja byłem sam. Pracowałem jak automat, a kiedy wychodziłem na ulicę, w każdym dziecku widziałem Michaela.

– Wtedy właśnie potrzebowałeś mnie najbardziej, a ja byłem daleko od ciebie – powiedziała, wstrząśnięta bezmiarem swych win.

– Tak, nie było cię przy mnie.

– Troy, jak mi przykro! Tak bardzo się wstydzę własnego egoizmu! Czy kiedykolwiek zdołam ci to wynagrodzić?

– Być może w jakiejś części już mi to wynagrodziłaś.

Zamachała rękami.

– Troy, dlaczego ty ciągle mnie kochasz?

– A dlaczego słońce wschodzi i zachodzi? Dlaczego ptaki są takie, jakie są? Na te i podobne pytania szalenie trudno jest odpowiedzieć. Widocznie tak już musi być.

– Widzisz, mówimy do siebie słowa, których dawniej sobie skąpiliśmy.

– Po śmierci Michaela mieszkaliśmy jakiś czas razem, ale rozmawialiśmy ze sobą jak obcy. Grzecznie, układnie, powierzchownie. Byleby tylko jeszcze bardziej nie zranić tej drugiej osoby.

Na jej twarzy pojawił się blady uśmiech.

– Ale odkąd tu przyjechałeś, przysła gdzieś ta układność. Darliśmy ze sobą koty.

– Kto wie, może to była skuteczna terapia. Ale, ale... Czy wydawało mi się, czy też faktycznie powiedziałaś do mnie „kochany”?

Lucy oblała się rumieńcem. Gdzieś za ich plecami rozległ się gwizd czajnika. Troy rzucił okiem i poczuł się bardzo nieprzyjemnie. Zapomniał o Quentinie, mimowolnym świadku ich intymnych zwierzeń. Chociaż – nie, mógł nie słyszeć ich słów, gdyż walczył właśnie ze stosem brudnych naczyń, piętrzących się w zlewie.

– Widzę, że nie lubisz zmywania – zauważył Troy podniesionym głosem.

– Robię to zazwyczaj dopiero wtedy, gdy w całym domu nie ma już nic czystego. Lub gdy goście zaczynają mnie pytać, co tu tak śmierdzi...

– Przyniosłam dziś ze sobą mleko – powiedziała Lucy. – To się nazywa instynkt samozachowawczy, prawda, chłopcy?

– A co z twoim zwróceniem się do Quentina po radę?

– Chcę, żeby mi poradził, jak mam się zachować w tej nowej dla mnie sytuacji.

– A może rozstrzygniemy to między sobą? Chyba stać nas na to.

– Kocham cię – powiedziała z gwałtowną namiętnością.

– Komu kawy? – zapytał Quentin.

Lecz zanim Troy odpowiedział, wycisnął na wargach Lucy gorący pocałunek.

– Ja chętnie. O ile – roześmiał się – podasz ją w czystej filiżance.

– Będzie czysta, chociaż nie gwarantuję za zapach. Może trochę zalatywać terpentyną.

– Zaryzykuję.

– Chciałbym, żebyś wiedział, Troy, że nigdy nie polowałem na Lucy – powiedział Quentin, dając tym pośredni dowód swojego zaangażowania w rozmowę. – I nie dlatego, żeby nie była pod każdym względem wspaniałą kobietą, tylko że dość szybko zorientowałem się, komu oddała swoje serce. Domyślasz się chyba, że mówię o tobie.

Troy i Lucy spojrzeli na siebie. Poczuli się tak, jakby Quentin udzielił im ponownego ślubu.

– Muszę coś ci powiedzieć, Troy. Kocham moje dwie siostry, ale zawsze wdychałam za

bratem. Chyba znalazłam go w Quentinie.

Quentin wybuchnął chłopcym śmiechem.

– Nie wiedziałem, że mam siostrę.

Zasiedli do kawy w jak najlepszych humorach i rozmowa potoczyła się o malarstwie. W pewnym momencie Lucy spojrzała na zegarek.

– Za pół godziny rozpoczynam pracę. Pośpiesz się z tą kawą, Troy.

– Rozkaz, proszę pani. – Jeszcze nie wyszedł z ciemnego lasu na jasny gościniec, ale już miał go w zasięgu wzroku.

Dopił kawę i uściśnął dłoń Quentinowi.

– Zachodź do mnie, Troy, kiedy tylko będziesz miał na to ochotę. Jeśli zobaczysz tabliczkę na drzwiach, będzie to oznaczało, że pracuję i jestem nieosiągalny. Poza godzinami pracy powitam cię natomiast z otwartymi ramionami.

Troy kiwnął głową. Rzadko mu się dotąd zdarzało polubić w tak krótkim czasie jakiegoś faceta.

A potem szedł z Lucy przez las i mówił, mówił i mówił. O jej miękkim brzuchu i wspaniałych piersiach; o starokawalerstwie Huberta i artystycznej klasie Quentina; o ptakach drapieżnych i ptakach wodnych. Lucy reagowała śmiechem i czuł buchający od niej ogień. Z największą ochotą natychmiast ległby z nią pod drzewem na mchu i na oczach ptasiej rodziny pokazał, co potrafi. Ale musiał być ostrożny. Lucy przypominała dopiero co zagojoną ranę, która jeszcze przed godziną krwawiła. Takiej rany nie można jeszcze dotykać.

– Dowiedz się, że jesteś bardzo nieskromny – powiedziała, gdy dochodzili już do hotelu.

– Gdybym był naprawdę nieskromny, weszłabyś do kuchni nie z różowymi, jak w tej chwili, lecz z purpurowymi policzkami.

Pocałowała go i zniknęła za drzwiami. Troy poszedł na górę i wziął zimny prysznic.

Kiedy około drugiej po południu Troy zajrzał do kuchni, by wyciągnąć Lucy na spacer brzegiem oceanu, rozłożyła bezradnie ręce.

– Nie mogę, Troy. Anna upada ze zmęczenia i muszę za nią posprzątać łazienki. Przybyła wprawdzie łodzią siostrzenica pani Mossop, ale przecież nikt tak od razu nie postawi jej przy garach. Będę wolna dopiero o ósmej. Spacer przy świetle księżycy też ma swoje uroki.

Do ósmej pozostawało jeszcze sześć długich godzin. Zrobił nieszczęśliwą minę.

– Tak chciałbym cię dotknąć.

Spuściła oczy.

– Musimy jeszcze omówić wiele spraw, zanim zrobimy jakieś głupstwo.

Ogarnął go gniew.

– Miłość fizyczną nazywasz głupstwem?

– Nie spaliśmy ze sobą przez ryle miesięcy. Mała zwłoka nie powinna być w tej sytuacji żadnym problemem. Do zobaczenia przy obiedzie.

Chcąc nie chcąc, poszedł więc popływać i długo nie wychodził z wody. Pływał w szybkim tempie, często zmieniając styl. Pragnął zmęczyć się i pozbyć nadmiaru energii. Schylając się po ręcznik, aby osuszyć pokryte gęsią skórką ciało, ujrzał swój cień.

W zasadzie Lucy miała rację. Powinni porozmawiać, gdyż muszą wyjaśnić wszystko do samego końca. Ale prawdziwym przełomem mogła być tylko rozkosz, jaką sobie dadzą. Oboje mieli ciała, a tymczasem zachowywali się tak, jakby byli tylko cieniami swych ciał. Najwyższy czas, by zaznali cielesnej rozkoszy.

Wytarł się do sucha i ruszył w drogę powrotną. Położył właśnie dłoń na klamce drzwi swojego pokoju, gdy z pomieszczenia naprzeciwko, gdzie trzymano czystą bieliznę pościelową, wyszła Lucy. W jednym ręku trzymała szczotkę, w drugim zaś kubeł, a w nim środki czyszczące.

Na jego widok uśmiechnęła się.

– Pływałeś, prawda? – spytała, patrząc na jego mokre włosy. – Jaka woda? Zimna?

– Zimna. Dobra na hartowanie ciała, fatalna na pożądanie płciowe.

Zrobiła łobuzerską minkę.

– A mnie mogłoby ochłodzić jedynie Morze Arktyczne.

Zadowolony z tej odpowiedzi, powiedział:

– Zawsze przecież byłaś gorącą kobietą... Jak Anna?

– Wysłałam ją do łóżka. Musi odpocząć.

Czule pogładził ją po policzku.

– Mam wspaniałą żonę. Głowa do góry. Do ósmej zostały już tylko cztery godziny.

Odprowadził ją wzrokiem. Miał wizję jej nagiego ciała. Pomyślał o Morzu Arktycznym i okładach z lodu, lecz tylko wziął zimny prysznic. Już drugi tego dnia.

Plaża tego wieczoru nie stanowiła wymarzonej scenerii na romantyczny spacer we dwoje. Wiatr wzmógł się, pędząc pierzasto-kłębiaste chmury po granatowym niebie. Fale wdzierały się daleko na piasek, cofając się niechętnie i z gniewnym sykiem piany. Czarne drzewa gięły się raz w jedną, to znów w drugą stronę, jakby w rozpacz po bolesnej stracie.

Spotkali się na ganku, a teraz szli plażą i przede wszystkim czuli przejmujący chłód. Troy zapiął kurtkę aż po samą brodę. Lucy kulila się w swojej.

– Tam widzę jakąś kłodę – powiedziała, wskazując ręką na wprost. – Może usiądziemy?

Kiwnął głową, na poły zamyślony, na poły przygnębiony, że jego plany biorą w łeb.

Potknął się tuż przed wskazaną mu przez Lucy kłodą. Zachwiał się i chcąc utrzymać równowagę, wsparł się prawą dłonią o pień. Krzyknął z bólu.

– Co się stało? – spytała z niepokojem w głosie.

– Ależ ze mnie oferma! Musiałem akurat trafić na wystającą drzazgę.

– Chodźmy do mnie. Przy świetle spróbuję ci ją wyjąć.

Propozycja tylko pozornie była nęcąca. Troy wiedział, że Lucy w swoim domku, mimo szerokiego łóżka zajmującego pół izby, była praktycznie nie do zdobycia. Ale cóż było robić? Zawrócili.

Lucy zapaliła obie naftowe lampy, obejrzała dłoń i przyniosła z łazienki peśetę, watę i wodę utlenioną. Drzazga wystawała z ciała prawie na pół centymetra, stąd też peśeta była tu idealnym narzędziem chirurgicznym. Wszystko teraz zależało od tego, jak to narzędzie zostanie użyte. Troy jednak nie śledził przebiegu „operacji”. Patrzył na pochylone czoło kobiety, którą kochał, i na jej błyszczące w świetle włosy. A kiedy było już po wszystkim, pochylił się i wyszeptał:

– Lucy...

– Troy...

Porwani jedną myślą i jednym zamiarem, powstali od stołu i jak lunatycy podeszli do siebie. Lucy zaczęła ściągać z niego sweter, a on zaczął od rozpinania jej dzinsów. Po chwili, nadzy, leżeli już na łóżku. Pozwalała mu na wszystko, samej sobie też dając prawo robienia wszystkiego. Miała nieprzytomny wyraz w oczach i nawet nie poczułaby, gdyby wbił zęby w jej pierś, którą właśnie namiętnie całował. Ocierała się o jego ciało brzuchem i nogami. Była bezwstydna. Uwielbiał jej bezwstyd. Była rozwiązła. Prowokował jej rozwiązłość. Chciała tym jednym aktem zrównoważyć pustkę setek samotnych nocy, wiedząc, że on chce tego samego. Znał wszystkie struny jej ciała i mógł grać na nich z maestrią wirtuoza. Cudowna więc była ta cisza, która potem nastąpiła. Leżeli w tej ciszy i patrzyli sobie w oczy.

– Kocham cię, Lucy. Kocham cię nad życie.

– Ja również kocham cię, Troy.

Zamknął ją w ramionach, zdumiewając się po raz kolejny jedwabistą gładkością jej skóry.

– Czuję bicie twojego serca.

– I ja czuję bicie twojego serca.

– Może powinniśmy naciągnąć na siebie kołdrę. Nie chcę, żebyś się nabawiła kataru.

– Tak mi dobrze. Nie chce mi się ruszać.

Zamknął oczy. Po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy czuł się szczęśliwy i spokojny.

– Następnym razem znajdziesz we mnie bardziej subtelny kochanek i nie będziesz miała powodu się skarżyć.

Wsparała brodę na jego brzuchu. Przymrużyła oczy.

– A może zechcesz łaskawie powiedzieć mi, kiedy ja właściwie się skarżyłam?

– Zdarzało się przecież, że nie mogłem sprostać twoim wymaganiom. Po męczącym dniu w

pracy mężczyzna najczęściej marzy tylko o tym, żeby się wyspać i wypocząć.

Zachichotała.

– Za to rankiem ten sam mężczyzna jest niczym rzymski bożek płodności.

– Pamiętasz ten ranek, gdy tarzaliśmy się na dywanie, a tu z wizytą przyszła twoja siostra Marcia?

– Jasne, że pamiętam. Nigdy jeszcze tak szybko się nie ubrałam. I dopiero kiedy Marcia poszła sobie, zorientowałam się, że włożyłam bluzkę na lewą stronę. – Spoważniała i zamyśliła się. – Nie rozumiem Marcii. Jest taka ładna, najładniejsza z nas trzech, a mimo to wszystko wskazuje na to, że zostanie starą panną.

– Sprzeciw – oburzył się Troy. – Ożeniłem się z najładniejszą z trzech siostr Barnes. Zresztą na tym dywanie, chwilę przed przybyciem Marcii, poczęty został Michael.

Lucy zeszytniała i zdecydowanym ruchem odsunęła się od niego. Patrzyła teraz w sufit.

Wsparł się na łokciu.

– Lucy, to musi się skończyć. Przecież nie mogę przeproszać cię za każdym razem, gdy zdarzy mi się wymienić jego imię.

Wyciągnął rękę, by znów przygarnąć ją do siebie, lecz odtrąciła ją.

– Przecież mogłam przed chwilą zajść w ciążę. Przecież mogło to wszystko już się rozstrzygnąć.

– Nie obawiaj się. Te pigułki stanowią dostateczne zabezpieczenie.

– Jakie pigułki? Przestałam je brać, odkąd wyjechałam do Ottawy.

– Co?!

– Przecież wyrażam się jasno. Nie potrzebowałam faszerować się chemią, skoro nie planowałam żadnego życia seksualnego. Prędko nauczyłam się żyć bez pigułek. Przestały być elementem codziennego rytuału. W rezultacie zapomniałam o nich. Nie pomyślałam też o nich dzisiaj. – Zamknęła oczy. – Jak mogłam być taka głupia? W dodatku znajduję się w najbardziej krytycznym momencie cyklu.

Pogładził ją po twarzy.

– Gdzież tu głupota, Lucy? Dałaś się porwać namiętności, gdyż kochasz mnie i pragniesz rozkoszy ze mną. Czyż mamy już tak kompletnie zracjonalizować swoje życie, że nie będzie w nim miejsca na gwałtowny poryw uczuć?

– Przecież wiedziałeś, że najbardziej ze wszystkiego boję się ponownej ciąży.

– Wiedziałem też, że jesteśmy małżeństwem i że nie mamy dzieci.

– Żyjemy w separacji! – wybuchnęła.

Poczuł się ugodzony w samo serce.

– Przestańmy wałkować wszystko od początku. Chcesz mi wmówić, że od momentu mojego przybycia na wyspę nie posunęliśmy się ani o krok?

– Chcę ci przypomnieć, że idąc z tobą do łóżka, nie dawałam ci żadnych obietnic.

– Dość tej fikcji, Lucy! Tych nie kończących się rozmów i zastanawiania się nad znaczeniem każdego słowa. Prawda jest taka, że potrzebujemy się nawzajem i że się kochamy. Miałem też nadzieję, że zwalczyliśmy strach. Jeżeli faktycznie przed chwilą zaszłaś w ciążę, to z tego powodu możemy tylko czuć się szczęśliwi.

Lucy patrzyła teraz na niego z zaciętą wrogością. Właściwie nigdy dotąd nie widział u niej takiego wyrazu twarzy.

– Nie chcę drugiego dziecka.

– Zgadzam się, że musimy najpierw uporządkować...

– Ty mnie nie słuchasz, Troy! Powtarzam: nie chcę drugiego dziecka. Tym bardziej więc jestem nieodpowiedzialna i głupia. Jak mogłam zapomnieć o rutynowym chociażby zabezpieczeniu się? – Nagle w jej oczach błysnęła podejrzliwość. – Czy ta drzazga w twojej dłoni nie była czasami na chłodno wykalkulowanym pretekstem, żeby wrócić ze mną do domu i rzucić mnie na łóżko?

Doprawdy, pomyślał Troy, doprawdy czasami tak niewiele trzeba, zaledwie kilku nieopatrznie wypowiedzianych słów, ażeby przemienić uczucie szczęścia w pełne gorczy doznanie porażki.

Wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

– Dlaczego w ogóle poszłaś ze mną do łóżka, jeśli nie chciałaś wrócić do mnie już na stałe i nieodwołalnie? – zapytał zimnym tonem.

– Sama w tej chwili zadaję sobie to pytanie. Zrobiłam coś, czego nie powinnam była robić.

– Bo pragniesz rzeczy niemożliwej. Kochać się ze mną i zarazem mieć stuprocentową gwarancję, że już nigdy nie spotka cię żadne nieszczęście. Ja takich gwarancji nie mogę ci dać. To jest całkowicie poza moją wolą. My, ludzie, nie decydujemy o sobie w stu procentach.

Rozejrzał się za butami. Nie powinien był tu przyjeżdżać. A już na pewno nie powinien był kochać się z Lucy. Tylko rozdrapał na powrót zabliznione już cokolwiek rany.

Odnalazł buty i zakładając je, powiedział:

– Jutro rano wezwę przez radio Clarence'a i wreszcie uwolnisz się ode mnie. Jeśli faktycznie zaszłaś w ciążę, to musisz się ze mną skontaktować. Jeżeli nie, to składam pozew o rozwód. Będziesz miała to, o czym tak marzysz.

Milczała.

Otworzył i zamknął za sobą drzwi.

Szedł przez trawnik zygzakiem, jak dziecko, które dopiero uczy się chodzić.

Czuł się nieszczęśliwy i zagubiony.

Szum morza działał wabiąco. Najchętniej już dzisiaj wsiadłby do łodzi i odpłynął z tej przekłętej wyspy.

Rozdział 8

Wiatr ucichł. Chmury odsłoniły księżyc, który rzucał teraz na ziemię swoją zimną pozbłą. Troy poszedł ścieżką w kierunku plaży. Opuści jutro Shag Island, choćby nawet miał zrobić to wpław. Pewien etap swojego życia mógł uznać za zamknięty.

Kiedy wyszedł spośród drzew, plaża i ocean ukazały mu się jako nastrojowa gra światła i cieni. Widok godny Quentina, pomyślał, po czym poczuł żal, że już nigdy nie zobaczy się z tym niezwykłym pod wieloma względami facetem.

Patrząc na fale, wrócił myślami do idei nowego początku. Start do nowego życia wymagał zapomnienia o wszystkim, czego tutaj doświadczył. Musi zapomnieć o ptakach, które pokochał, a także o ludziach, którzy zdobyli jego sympatię.

A przede wszystkim musi zapomnieć o Lucy.

Będzie musiał nauczyć się żyć bez niej.

Nie miał wyboru. Przeżyła śmierć Michaela tak głęboko, iż stała się istotą skazaną na lęk, zgrzyotę i samotność. Chciał być jej mężem. Chciał kochać i być kochanym. Nie czuł się na siłach być jej psychoanalitykiem.

Długo tak stał i medytował, aż zaczął mu doskwierać nocny chłód. Ruszył w drogę powrotną i po pięciu minutach był już w hotelu. Idąc przez hol, ujrzał uchylone drzwi do mieszkania McManusów. Zajmowali trzy pokoje na parterze, każdy z oddzielnym wejściem, ale Troy był do tej pory tylko w pokoju Stephena. Wiedział jednak, że światło, które wypełniało szczelinę pomiędzy framugą a drzwiami, paliło się w pokoju Anny i Keitha.

Zaniepokojony, podszedł i zbliżył usta do jasnej szpary.

– Anna? Wszystko w porządku? Keith już wrócił?

– Troy? Czy to ty?

– Mogę wejść?

– Wchodź... Czekałam na ciebie.

Ujrzał Annę w białej nocnej koszuli tuż przy małżeńskim łóżku. Stała oparta o ścianę. Jej czarne włosy spływały w nieładzie na ramiona. Alabastrowa dłoń spoczywała na brzuchu.

– Zaczęło się?

– Wody odeszły godzinę temu, a bóle powtarzają się co jakieś osiem minut – odparła z bladym uśmiechem na zmęczonej twarzy. – I wszystko to zaczęło się w najgorszym momencie, kiedy Keith wyjechał.

Poklepał **japo** ramieniu.

– Nie martw się, postaram się zastąpić Keitha. Kto jeszcze jest w hotelu?

– Nie ma tu nikogo. – Zagryzła wargi i spojrzała na zegarek. – Teraz mam bóle już co

siedem minut. Ornitologzy wybrali się na petrele. Chciałam powiadomić Lucy, ale kiedy wyszłam na ganek, złękłam się, że mogę potknąć się w ciemności, przewrócić i zrobić sobie i dziecku krzywdę. Czy mógłbyś w takim razie przyprowadzenie tu Lucy wziąć na siebie?

– A gdzie jest pani Mossop? – zapytał wymijająco.

– Nie chcę pani Mossop. Po pierwsze, jest to osoba pełna najróżniejszych przesądów, po drugie zaś, mdleje na widok krwi. Nie ona by pomagała, tylko jej trzeba byłoby udzielić pomocy.

– Rozumiem.

– Wiem, że Lucy nie będzie zachwycona, gdy przekażesz jej moją prośbę. Mimo to jest mi niezbędna. – Znowu zagryzła usta. – I powiedz jej, żeby się pośpieszyła.

Właściwie nie miał wyboru. Potrzebował kogoś do pomocy i Lucy była w tej sytuacji jedyną osobą, do której mógł się z tym zwrócić.

– Zaraz wracam – powiedział.

Księżyc znów zasłaniały chmury. Dopadł do drzwi domku i zaczął w nie walić, jakby się paliło.

– Kto tam?

Nie spała. Inaczej nie mogłaby tak szybko odpowiedzieć.

– Troy. Anna rodzi.

Drzwi otworzyły się. Oczy, które teraz na niego patrzyły, wydawały się pełne podejrzliwości.

– Połóg miał nastąpić dopiero za dwa tygodnie.

– Nic na to nie poradzę, że rozpoczął się dzisiaj. Skurcze powtarzają się już co siedem minut. Anna potrzebuje cię, Lucy. Ubierz się i przychodź jak najszybciej.

– Nie mogę – odparła zdławionym głosem.

– Możesz i zrobisz to.

– Boję się, że na widok tego dziecka coś we mnie pęknie.

– No to niech pęknie, do jasnej cholery! Keith jest na łodzi, pani Mossop mdleje na widok krwi, Stephen ma tylko dziewięć lat, ornitologzy zafundowali sobie na tę noc podglądanie petreli, zostałaś tylko ty. Czy dociera to do ciebie?

– Nic mnie to nie obchodzi! Nie pójdę!

– Dość już mam tych twoich babskich hysterii – wysyczał przez zaciśnięte zęby, by natychmiast podnieść głos do krzyku: – Tylko jęczysz i skarżysz się, a mnie przewracają się wnętrzności. Chcesz wmówić światu, że jesteś tak delikatnie skonstruowaną istotą, że każdy silniejszy powiew wiatru może potargać cię niczym pajęczynę. Trzęsiesz się więc o siebie i boisz konfrontacji z życiem. Nie liczysz się z nikim i z niczym. Uciekłaś sobie pod skrzydła mamuski i siostr i ani pomyślałaś, co ja mogę czuć. Po prostu przestałem dla ciebie istnieć.

Uważasz bowiem siebie za jedyną na tym świecie matkę, która straciła dziecko. A tymczasem ten świat jest wypełniony po brzegi cierpieniem. Wiem coś o tym, bo jestem lekarzem. Anna też już cierpi, bo każde dziecko rodzi się w pocie i bólu. Ale ciebie, oczywiście, mało to obchodzi, ty okropna egoistko!

Wydzierał się na całą okolicę. Nie mógł wykluczyć, że Hubert i Quentin słyszeli każde jego słowo.

– Więc jak? Pójdiesz ze mną z własnej woli, czy mam cię zaciągnąć za włosy?

Patrzyła na Troya z takim przerażeniem w oczach, jakby co najmniej groził jej pistoletem.

– Boże, jak ty się zmieniłeś – wyszeptała. – Widzę człowieka, o którego istnieniu nie miałam dotąd pojęcia.

– Jeśli zmieniłem się, to tylko tobie to zawdzięczam.

Cicho jęknęła.

– Będę za pięć minut. Muszę się najpierw ogarnąć.

– Tylko pośpiesz się – rzucił z groźną miną, odwrócił się i ruszył szybkim krokiem przez trawnik.

Jak na mężczyznę, który właśnie postanowił się rozwieść z ukochaną i pożądaną kobietą, nie był bynajmniej zrezygnowany i pogrążony w smutku. Przeciwnie, on również miał prawo oskarżać i skorzystał ze swojego prawa, co przyniosło mu ulgę i chwilowe odprężenie.

Zastał Annę w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Stała oparta o ścianę i ciężko dyszała. Poczekał, aż bóle miną.

– Lucy zaraz tu będzie – powiedział. – Przygotuję łóżko, bo i tak prędzej czy później będziesz musiała się położyć.

– Dobrze, że wróciłeś. Samotność dla rodzącej kobiety jest gorsza od wszystkich bólów.

Ściągnął kapę i kołdrę, zostawiając tylko poduszki. Odnalazł według wskazówek Anny sporych rozmiarów ceratowy obrus i przykrył nim materac. Na ceracie rozesał czyste prześcieradło. Następnie zatroszczył się o czyste ręczniki i kubek, który postawił w nogach łóżka. Na koniec dokładnie i wedle najlepszej swej wiedzy zbadał Annę. Okazało się, że położenie płodu jest wręcz wzorcowe. Tak czy inaczej, kulminacyjny moment porodu mógł nastąpić dopiero nad ranem. * Mieli przed sobą długie i ciężkie godziny oczekiwania.

– Mam nadzieję, że Lucy zgodziła się przyjść i pomóc mi – powiedziała Anna.

– Oczywiście – gładko skłamał. – Myślę, że już idzie. Chyba słyszę jej kroki.

Weszła Lucy. Za progiem zrzuciła buty, podbiegła i pocałowała Annę w policzek.

– Jak sobie radzisz?

– Jak to dobrze, że przyszedłeś. Wiem, że to dla ciebie nie będzie łatwe.

– Mną się nie przejmuj. Cieszę się, że na coś się przydam. Troy poszedł do kuchni zagotować wodę. Kiedy wrócił, zastał Lucy w jej dawnej roli masażystki. Rozcierała Annie

plecy. Anna przyjmowała to niczym pieszczotę. Bóle wracały, Lucy przerywała, by po jakimś czasie znów podjąć swoje zadanie.

W tej fazie porodu Troy nie miał właściwie nic do roboty. Usiadł więc w fotelu i obserwował obie kobiety. Lucy mogła tu przyjść wbrew własnej woli, ale skoro już przyszła, opiekowała się przyjaciółką z oddaniem i wielką czułością.

Można też było pogratulować jej samodyscypliny i opanowania, a w rezultacie dzielności. Właśnie brak tych cech zarzucił swojej żonie w trakcie sprzeczki. Myślał teraz o tym z tym większą autoironią, że perspektywa odebrania dziecka pozbawiała jego samego odwagi i pewności siebie.

Wyszedł do holu i zaczął nerwowo chodzić z kąta w kąt. Co jakiś czas przystawał przy oknie i rzucał okiem na księżyc i gwiazdy. Widok nocnego nieba działał nań uspokajająco.

Podeszła Lucy.

– I jak? – zapytał.

– Skurcze co cztery minuty. Naprawdę cieszę się, że mogę tu być razem z Anną.

Nawet na nią nie spojrzał.

– Chyba jeszcze raz dokładnie ją przebadam.

Około czwartej nad ranem zaczęły się bóle parte.

– Zbliża się najcięższy moment – powiedział Troy, patrząc w wypełnione niepokojem oczy Anny i gładząc jej zaciśniętą na swojej ręce dłoń. – Wydzieraj się, śpiewaj, przeklinaj... masz pod tym względem całkowitą swobodę wyboru. Ale jeszcze nie przyj. Jeszcze nie w tej chwili.

Minęło dwadzieścia minut, podczas których Troy i Lucy przygotowali Annę do ostatecznej fazy porodu.

– Teraz czas na parcie, Anno. Nabierz w płuca powietrza, wstrzymaj oddech i przyj. O tak, bardzo dobrze. Silna i dzielna z ciebie kobieta.

Po kwadransie w ujściu kanału rodnego pojawiła się główka dziecka, a potem jego ramionka. Następnie wszystko potoczyło się już szybko i bez żadnych komplikacji.

Anna urodziła dziewczynkę.

– Piękna i zdrowa pannica – ogłosił Troy, po czym zajął się pępowiną dziecka. Na koniec obmył je ze śluzu i krwi i zawinął w ręcznik. – Lucy, podaj dziecko Annie. Niech przytuli je i napatrzy się na nie do woli.

Lucy nachyliła się i z jakąś pobożną ostrożnością wzięła do rąk małe zawiniątko. Przez dłuższą chwilę trzymała je przy piersi, wpatrując się zahipnotyzowanym wzrokiem w czerwonosiną twarzyczkę, po czym przekazała dziecko matce. Każdy najmniejszy jej ruch tchnął czułością i troską, jakby to nie dziecko, lecz najświętszą hostię przenosiła z miejsca na miejsce.

Wyprostowała się, poprawiła włosy i zwróciła do Troya:

– Marzę o mocnej herbacie. Tobie też zrobić?

– Z braku szampana może być i herbata – odparł, szczerząc zęby.

Chwilę milczała, nie odrywając jednakże od niego wzroku.

– Anna miała szczęście. Obsługiwał ją położnik, któremu mogła w pełni zaufać.

Anna promiennym uśmiechem podpisała się pod oceną przyjaciółki.

– Lucy ma rację, Troy. Nie miałabym lepszej i bardziej kompetentnej opieki, nawet gdybym rodziła w najdroższej prywatnej klinice położniczej. Tobie również dziękuję, Lucy.

Nigdy wam nie zapomnę, że byliście przy mnie, kiedy najbardziej was potrzebowałam.

– Wobec tego idę wybeczeć się do kuchni – powiedziała Lucy i wybiegła z pokoju.

Troy na prośbę Anny postawił na nocnym stoliku aparat telefoniczny, wykręcił podyktowany mu przez nią numer i podał jej słuchawkę. Rozmawiała z mężem całe pięć minut. Wyczerpanie połączone z sennością, ów normalny stan u położnic, jeszcze nie spowiło jej chmurą letargu.

– Keith bardzo się cieszy z dziewczynki – powiedziała, odkładając słuchawkę. – Zresztą już dawno sobie założył, że po synu wypada mieć córkę. Będzie w domu najszybciej, jak tylko będzie mógł. Serdecznie dziękuję tobie i Lucy za waszą pomoc.

A zatem Keith już po raz drugi zgrzeszył gadulstwem, pomyślał Troy. Jak tak dalej pójdzie, to może zrobi się z niego niezły gawędziarz.

Weszła Lucy z herbatą i kanapkami. Zasiadł do śniadania przy bocznym stoliku. Jadł w milczeniu, myśląc o swoim odjeździe. Doszedł do wniosku, że najwyższy czas powiadomić o tym fakcie Annę.

– Keith przyplynie z pewnością łodzią Clarence'a – powiedział, starając się utrzymać naturalne brzmienie głosu. – To się dobrze składa, gdyż dzisiaj opuszczam wyspę.

– Opuszczasz nas? – zapytała Anna, nie kryjąc swojego rozczarowania i rzucając spojrzenie na Lucy. – Myślałam...

– Muszę wracać do pracy. I tak byłem tu dłużej, niż to sobie uprzednio zaplanowałem.

– Rozumiem – powiedziała Anna. – Mam tylko nadzieję, że zobaczę was tu oboje następnego lata.

Zdobył się na uśmiech.

– Nigdy nic nie wiadomo. Lucy spojrziała na zegarek.

– Muszę wracać do kuchni. Dzisiaj mój dyżur, a jeszcze nawet nie mam pomysłu, co zrobić na śniadanie.

– Jeśli chcesz, to ci pomogę – powiedział.

– Możesz przygotować sałatkę? – zapytała, patrząc gdzieś w kąt pokoju.

Przeszli do kuchni i podczas gdy Lucy zajęła się rozbijaniem jaj i ubijaniem piany, Troy zasiadł do krajania w kostkę warzyw i owoców.

Nagle nastąpiła cisza. Uciszył łomot trzepaczki.

– Troy, proszę, nie wyjeżdżaj – rozległ się błagalny głos Lucy.

Powoli podniósł głowę.

– Muszę. I sama wiesz, dlaczego.

– A mimo to zwracam się do ciebie z prośbą, żebyś odłożył swój wyjazd.

– Nic z tego, kochanie. To moja ostateczna decyzja. Nie mogę żyć przy tobie i równocześnie nie mieć do ciebie dostępu.

Chciała coś powiedzieć, lecz oto kuchnia przemieniła się w salon hotelowy. Najpierw wpadł Stephen i od razu chciał się dowiedzieć dwóch rzeczy – czy jego siostra płacze, słowem, czy jest beksą i na czym polegają istotne różnice między wykluwaniem się pisklęcia a rodzeniem się dziecka. Potem zaroilo się od ornitologów. Wrócili z całonocnej wyprawy na petrele i już mieli w planie całodzienną wyprawę na siewkowate w rejonie klifów. Byli straszliwie głodni, ale na wieść o powiększeniu się rodziny McManusów, okazali wzruszającą tolerancję, mówiąc, że zadowolą się suchym chlebem. Lucy jednak kazała im się tylko uzbroić w cierpliwość.

W drzwiach minęli się z panią Mossop. Ta od razu wybuchnęła żalem, że przespała wielką chwilę. Gratulowała sobie wielkiej przenikliwości. Już od dawna znała płeć dziecka. Odgadła ją z postawy Anny, jej cery oraz układu planet. Dzisiejsza pełnia księżyca wróżyła dziecku, jej zdaniem, szczęśliwą przyszłość.

Pojawił się Hubert. Trzymał w ręku wspaniałą bukiet różnokolorowych astrów.

– Ty chyba gadasz z ptakami, Hubercie! – wykrzyknęła zdumiona Lucy. – Jakim sposobem tak szybko dowiedziałeś się o naszej dziewczynce?

Rzecz jasna, uwagi Troya nie uszła ta „nasza” dziewczynka.

– Zadzwoił do mnie Keith. Jest w siódmym niebie.

Doprawdy, Keith musiał być naprawdę w siódmym niebie, gdyż zawiadomił wszystkich. W minutę bowiem po Hubercie pojawił się Quentin. Zakładając, że załatwiwszy najpilniejsze telefony, Keith podał wiadomość o swoim ojcostwie przez radio, należało oczekiwać w najbliższych godzinach napływu na wyspę połowy populacji Kanadyjczyków.

W odróżnieniu od Huberta, Quentin nie przyniósł kwiatów prawdziwych, tylko kwiaty namalowane i Troy pomyślał, że nie widział dotąd wspanialszej martwej natury z kwiatami.

Wszyscy oni, od Stephena do Quentina, zostali wysłani do szczęśliwej matki, z zastrzeżeniem jednakże, by ograniczyli swoją wizytę do jednej minuty.

– I ani sekundy dłużej – powtarzał Troy każdemu.

Kiedy zostali sami, Lucy wróciła do swoich omletów i przerwane wątku rozmowy.

– Nigdy o nic cię nie prosiłam, Troy. Ale teraz proszę, błagam, nalegam. Nie wyjeżdżaj dzisiaj. **Jest** to szczególnie dzień. Urodziło się dziecko. Wszyscy są szczęśliwi. Dlaczego my

mamy...

Nie dokończyła, gdyż znowu usłyszeli ruch przy drzwiach. Tym razem wparowali do kuchni Keith i Clarence. Keith miał rozwichrzone włosy i koszulę zapiętą nie na te guziki, co trzeba. Był podniecony i rozradowany. Ściskając Troya i Lucy, o mało co nie połamał im kości.

– Lecę do moich kobietek, ale najpierw chciałem wam podziękować.

Wybiegł, zostawiając Clarence'a, któremu Lucy zaproponowała filiżankę kawy. Rybak przeszedł z nią do holu, gdzie usiadł w jednym z licznych tam foteli.

Troy miał świadomość, że musi zdobyć się teraz na błyskawiczną decyzję. Wypiwszy kawę, Clarence z pewnością wróci do swojej łodzi i odpłynie w kierunku lądu. Miał więc pięć, najwyżej dziesięć minut. Spojrzał na Lucy. Sprawiała wrażenie zmęczonej, strapionej i samotnej. Tak mogła wyglądać tylko kobieta, która przegrała swoje życie.

Po chwili stała już przed nim.

– Kiedy trzymałam dziecko – zaczęła drżącym głosem – czułam jego lekkość i kruchość. Myślałam wczoraj, że nie wytrzymam konfrontacji z tą właśnie lekkością i kruchością nowego życia. Ale myliłam się. Dziś wiem o sobie więcej niż wczoraj czy przedwczoraj. Mogę zaufać sobie w czymś, co jeszcze niedawno napełniało mnie przerażeniem.

Każde jej słowo płynęło z głębi serca i Troy świadom był tego.

– Lucy, kocham cię i pragnę być z tobą. Ale jeśli po każdej naszej nocy miłosnej będziesz się trzęsła na myśl o ewentualnej ciąży, to ja nie sprostim na dłuższą metę takiej sytuacji.

– Zostań do piątku – poprosiła. – Nie wyjeżdżaj dzisiaj. Troy rzucił okiem ku drzwiom. Były uchylone i odsłaniały część holu. Clarence właśnie dopijał kawę, odstawił filiżankę na spodeczek, przeciągnął się i wstał. Po chwili stał już na progu kuchni.

– Macie jakieś listy do przesłania? – zapytał.

Troy zawiesił wzrok na spracowanych, lekko odmrożonych dłoniach rybaka. Spakowanie się zajęłoby mu tylko minutę. Zdrowy rozsądek nakazywał uciekać z tej wyspy. Zrobił już wszystko, co mógł, aby ocalić swoje małżeństwo, i miał już dość masochistycznych doznań. Ale w jego stosunkach z Lucy zdrowy rozsądek nigdy nie odgrywał wiodącej roli.

– Tym razem nie mam żadnego listu, Clarence.

Lucy wydała z siebie głęboki oddech ulgi. Stało się. Clarence poszedł sobie.

Zaraz jednak wszedł Quentin. Chciał się pożegnać, a także coś im podarować. Wydarł ze szkicownika wierzchnią kartkę. Podał ją Lucy.

– Co o tym sądzisz? Wiesz, że zawsze chętnie słucham słów krytyki.

Był to skreślony ołówkiem portret Anny i jej dziecka. Tytuł „Macierzyństwo” aż sam się tutaj narzucał. Kilka czy kilkanaście nieskomplikowanych kresek, jakieś półcienie – i to wszystko, by wyrazić plastycznymi środkami ponadczasową Czułość, Tkliwość oraz Miłość.

– **Jakie** to piękne – wybąkała Lucy. – Przepraszam. Muszę iść do łazienki.

Wybiegła, zabierając ze sobą szkic.

– Mam nadzieję, że już nie płacze całymi nocami, jak na początku swojego tutaj pobytu – powiedział Quentin. – Myślę, że powinieneś wybrać się z nią na petrele. Nie pojmuję, o co w tym wszystkim chodzi, ale te ptaki poruszają w niej jakieś ukryte struny. – Poklepał Troya po ramieniu. – Przede wszystkim jednak musisz się wyspać, chłopie.

– Dobra rada – przyznał Troy, zdobywając się na uśmiech.

– Obserwowałem Lucy przez całe lato. Przypominała mi ptaka, który zgubił drogę i wylądował w nieznanym terenie. Lubił skały, a oto wokół same drzewa. Lubił morze, a oto wokół same słodkowodne jeziora. Chciałby się wyrwać z tego miejsca, ale nie wie, w którą stronę ma pofrunąć... Jasny gwint, powinienem być zostać raczej poetą niż pacykarzem.

Pożegnawszy się z Quentinem, Troy poszedł prosto do łóżka. Zasnął, zanim jeszcze Clarence zdążył odbić od brzegu.

Rozdział 9

Troy spał tego dnia prawie do obiadu. Wstał, wziął prysznic i zszedł na dół zbadać Annę. Dowiedział się, że dziewczynka ma na imię Jennifer i że Anna spędziła około południa godzinkę na tarasie, grzejąc się w słońcu i chłonąc pełną piersią morskie powietrze.

– Cieszę się, że zostałeś – powiedziała, gdy skończył badanie. – Ty i Lucy należycie do siebie. – Na jej czole ukazała się pionowa zmarszczka. – Pojawił się pewien problem. Stephen od rana zachowuje się nietypowo. Nie wydaje się być zazdrosny. Raczej zakłopotany. Najmniejszego entuzjazmu z faktu posiadania siostry. Porozmawiaj z nim, gdy nadarzy się ku temu okazja.

– Spróbuję – obiecał, po czym poszedł do kuchni.

Lucy wałkowała ciasto na paszteciki. Powitała go niepewnym uśmiechem.

– Spałaś dziś? – zapytał.

– Od dziesiątej do trzeciej, czyli dostatecznie długo, żeby nocą wybrać się na petrele.

– Mogę pójść z tobą?

Przełknęła ślinę.

– Oczywiście.

Zaczął swobodniej oddychać.

– Masz mąkę na policzku. – Wyciągnął rękę, dotknął jej policzka, lecz zaraz schował obie ręce do kieszeni spodni.

Powiedziała porywczo:

– Nigdy nie przestałam pragnąć cię, Troy. Nigdy.

– Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego rok temu.

– A czy mogłam? Wówczas chciałam tylko ustanowienia dystansu pomiędzy tobą a mną. Wiesz już przecież, jak panicznie lękałam się ponownego zajścia w ciążę.

– I tym sposobem zaraziłaś mnie zwątpieniem i podejrzliwością. Zacząłem podawać w wątpliwość całą naszą małżeńską przeszłość. Doszło nawet do tego, że pewnego dnia zadałem sobie pytanie, czy nie uciekłaś ode mnie z nudów.

– A ja tymczasem budziłam się nocami i po omacku szukałam cię przy sobie.

– Przyrzeknijmy coś sobie, Lucy. Obojętnie, co się wydarzy przez następne trzy dni, nie będziemy siebie okłamywali.

– Lecz mówili sobie prawdę, całą prawdę i tylko prawdę?

– Bo tylko wtedy uda się nam odbudować wzajemne zaufanie.

– Przyrzekam.

– I ja przyrzekam. – Spojrzał na zegarek. – Spotkajmy się zatem o jedenastej.

– Dobra godzina. Po obiedzie będę jeszcze mogła odpocząć troszeczkę. – Zaczęła krajać rozwałkowane ciasto na średniej szerokości pasy. – Czyż ta Anna nie jest dzielna?

– Jest dzielna. Ale i z ciebie jestem dumny.

– Bardzo próbuję zatrzymać się w swojej ucieczce. Ucieczce od... Michaela.

– Nie powinienem był wytykać ci tchórzostwa.

– To ja nie powinnam była porzucać cię i uciekać do Ottawy.

– Czyż mam wyliczyć ci wszystkie swoje błędy? Nikt nie jest bez winy. Mamy przynajmniej naukę na przyszłość, jak nie należy postępować.

Usłyszeli kroki. Nadchodziła pani Mossop. Troy pocałował Lucy w koniuszek nosa i wycofał się do holu.

Przebaczenie, pomyślał. Kto potrafi wybaczać, ten potrafi budować od nowa.

Wyszedł na dwór. Na okolicznych klonach rajcowały sikory. Rozejrzał się za Stephenem, jednak nigdzie nie było widać drobnej postaci i brązowej czuprynki. Pomyślał, że najprędzej odnajdzie go na plaży. I faktycznie, chłopiec siedział na jednej z przybrzeżnych skałek i wpatrywał się w rozhuśtany ocean. Było wietrznie i łagodne wczoraj fale przemieniły się w białosine grzywacze.

– Cześć.

– Sie masz. – Chłopiec wziął do ręki kamyk i cisnął nim do wody.

– Twoja matka niepokoi się o ciebie. Zrobiłeś się jakiś małomówny i smutny.

– Bo wszyscy pieją z zachwytu, jaka ta Jennifer jest piękna, a moim zdaniem jest brzydka. Ma twarz, jakby polano ją wrzątkiem.

– Takie są wszystkie dzieci w pierwszych godzinach po urodzeniu. Ale za dzień lub dwa jej twarzyczka wygładzi się i zblednie i ty również zaczniesz pisać z zachwytu.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Bo ja już myślałem, że ona na coś choruje. Pani Mossop powiedziała, że kobieta, która jest w ciąży, nie powinna jeść grzybów. A sam widziałem, jak mama pewnego dnia opychała się maślakami w śmietanie. Pomyślałem więc, że to od tych grzybów **Jennifer** jest taka brzydka.

– **Jestem** lekarzem i możesz mi zaufać. Grzyby nie miały tu nic do rzeczy. **Jeszcze** będziesz dumny z urody swojej siostry.

Chłopiec najwyraźniej odzyskał humor.

– Myślałem właśnie nad prezentem dla niej.

– I co wymyśliłeś?

– Może podaruję jej najpiękniejsze ptasie pióro z moich zbiorów. Albo muszlę. Co o tym sądzisz?

– Świetny pomysł.

Do obiadu pozostało jeszcze trochę czasu, więc powłóczyli się po plaży w poszukiwaniu muszel. Niestety, nie znaleźli nic godnego uwagi. Pogapili się więc na powietrzne harce mew polarnych i srebrzystych, a potem zgodnie wrócili do domu na obiad.

Tym razem na wyprawę na petrele Troy ubrał się wyjątkowo ciepło. Wiał dość silny północno-wschodni wiatr i w powietrzu wyczuwało się chłód, który zapowiadał koniec lata. Zbliżał się też koniec pobytu Troya na ptasiej wyspie. Bo tak czy inaczej, musiał w piątek wyjechać.

Lucy również okazała się przewidująca. Miała na sobie gruby złoto-brązowy sweter, kurtkę i wysokie buty. Kurtki jeszcze nie zdążyła zapiąć, więc mógł podziwiać kolory jesieni na jej bujnych piersiach.

– Podoba mi się twój sweter.

– Zrobiła go Marcia.

– Coś mi nie bardzo pasuje do Marcii robienie swetrów na drutach.

– Zgoda. Bo też jest to jej pierwsza i zarazem ostatnia próba. Marcia lubi podejmować się różnych zadań, ale tylko po to, by udowodnić sobie i innym, że w każdej dziedzinie może być dobra.

– Pomyślałaby raczej o znalezieniu jakiegoś sensownego mężczyzny.

– Marcia? To do niej nie pasuje... miłość i te różne związane z nią bzdurki. Troy, ale dość o mojej siostrze. Musimy już iść, gdyż czekają na nas petrele. Świeci księżyc, więc będzie się nam szło wręcz komfortowo. – Zachichotała figlarnie. – Musimy uważać tylko na nocne drapieżniki.

Faktycznie, księżyc w pełni dostarczał wystarczająco dużo światła, by nie musieli palić latarek. Stosunkowo szybko znaleźli się na obszarze zamieszkanym przez petrele. Natarczywe, przejmujące wołania wiecznie głodnych piskląt rozlegały się wśród szumu buków i świerków i coraz bardziej przybierały na sile.

– Wiesz, Troy, Stephen powtórzył mi rozmowę, którą miałeś z nim w związku z Jennifer. Myślę, że jesteś wręcz stworzony na ojca. Zresztą pamiętam, jakim wspaniałym byłeś ojcem, kiedy nim byłeś...

Powiedziała to i, rzecz dziwna, nie zadrżał jej głos. A zatem potrafiła już mówić o pewnych rzeczach bez wpadania od razu w czarną rozpacz.

– Odwróć się, Lucy. Chcę widzieć twoją twarz. Więc skoro już patrzysz na mnie, to wiedz, że byłaś najczulszą, najtroskliwszą, najbardziej kochającą z matek.

– Nie dano nam wiele czasu na nasze rodzicielstwo.

– Ach, lepiej już do tego nie wracać. Przeszło, minęło.

– Przeszło, minęło – powtórzyła bez większego przekonania. – Jasne, że wszystko przechodzi i mija, co nie znaczy, że nie mamy prawa buntować się przeciwko takiemu porządkowi rzeczy.

Ruszyli i przeszli w milczeniu kilkadziesiąt metrów. Obok starego dębu ścieżka skręcała w prawo. Minęli zakręt i stanęli jak wryci.

Widok, jaki się przed nimi otworzył, miał coś z sennego marzenia, choć niby nic nie było w nim niezwykłego. Po prostu ścieżka w tym miejscu rozszerzała się, drzewa rozstępowały się i widać było w górze pas nocnego nieba z centralnie umieszczoną tarczą księżyca. Wiatr na chwilę zelżał, małe petrele zamilkły, a spływające na ziemię księżycowe światło unieruchomiło czas. Wszystko zamarło, jakby nagle przemienione w kamień.

Ale oto gdzieś z boku nadfrunął ptak i zburzył zastygły pejzaż. Był to petrel wracający z żerowisk do swej nory, gdzie czekały na niego młode pisklęta. Linia lotu wskazywała, że za chwilę pojawi się na tle bladej tarczy księżyca. I pojawił się, ale nie sam. Nagle bowiem z przeciwnej strony z pobliskiego drzewa oderwał się jakiś duży skrzydlaty kształt i bezszelestnym lotem przeciął mu drogę. Cała scena rozegrała się błyskawicznie, widoczna aż do najdrobniejszych szczegółów. Rozległ się przejmujący pisk ofiary, któremu towarzyszył spazmatyczny trzepot skrzydeł. Potem wszystko umilkło. I tylko widać było, jak sowa – bo to na pewno była sowa – odlatuje w gąszcz ze swoim łupem w szponach.

Lucy, szlochając, przywarła do Troya i długo nie mogła się uspokoić.

– Boże, jakże okrutne jest życie – powiedziała drżącym głosem. – Ten petrel nie dotarł do swojego gniazda i jego małe zginą z głodu. Myślał tylko o tym, by jak najszybciej dostarczyć im pożywienie i nie zauważył zbliżającego się wroga. Kiedy kochamy, wystawieni jesteśmy na ataki z każdej strony.

– Co bynajmniej nie unieważnia miłości, bo to ona jest najwyższą wartością. W życiu miłość i cierpienie ciągle przeplatają się ze sobą.

– Jesteś lekarzem i pewnie widzisz to na co dzień w szpitalu.

– Masz rację. Chociaż... kiedy nieszczęście spadło na mój dom i dotknęło • mnie osobiście, uświadomiłem sobie, że w istocie niewiele dotąd wiedziałem o cierpieniu.

Gorąco pocałowała go w oba policzki.

– Wybacz, że zostawiłam cię wówczas samego. Okazałam się wstrętną egoistką.

– Pozostaje pytanie, czy byliśmy wówczas w stanie pomóc sobie nawzajem. Nadal mnie kochałaś i to zapewne tylko powiększało twój ból i twoje rozdarcie.

– Tak, nadal cię kochałam. Lecz równocześnie panicznie bałam się twojej bliskości, ponieważ dobrze wiedziałam, że po każdym naszym zbliżeniu fizycznym pogłębia się moja duchowa dezintegracja. Czułam, że już niebawem, może za kilka dni, rozpadnę się na kawałki.

– W rezultacie nasze szalone noce miłosne zmieniły się w akty kopulacji w ramach

mażeńskich zobowiązań.

– Wtedy właśnie zaczęłam myśleć o ucieczce. Aż w końcu zrealizowałam tę myśl. Znalazłam się w Ottawie. Znowu zaczęłam spotykać się z matką i siostrami. Catherine nie przegapiała żadnej okazji, by obrugać mnie za to, że opuściłam męża. Marcia patrzyła na mnie jak na osobę na skraju załamania nerwowego. A matka, no cóż, matka nie była zachwycona całą tą sytuacją i bynajmniej nie robiła z tego tajemnicy. Słowem, wpadłam z deszczu pod rynnę. Kiedy więc usłyszałam o tej wyspie, nie namyślałam się ani przez chwilę. Byłam pewna, że prędzej czy później zażadasz rozwodu. Musiałam przygotować się do nowego życia. Zdjęłam obrączkę i wróciłam do panieńskiego nazwiska.

– Czy wrócisz ze mną do Vancouver, Lucy?

– Jesteś pewien, że tego właśnie pragniesz?

– Tak.

Ożywiła się.

– Chcę tego, Troy. Bardzo chcę. Czulałam się do tej pory jak łódka bez żagli, steru i wiosła, miotana na wszystkie strony przez fale i wiatry.

Wreszcie mógł jej powiedzieć rzecz najważniejszą:

– Nigdy nie wiemy, kiedy sowa zaatakuje. Ale chowanie się pod ziemię przed możliwym niebezpieczeństwem nie jest, jak widziałaś, żadnym rozwiązaniem. Więc jak? Wracamy razem?

– Być może nadejdzie taki dzień, kiedy będę gotowa urodzić ci dziecko. Nie wiem jednak, czy mam prawo prosić cię, żebyś poczekał.

– Prawdopodobieństwo, że nasze drugie dziecko zapadnie również na jakąś śmiertelną chorobę praktycznie równa się zeru.

Były to w gruncie rzeczy okrutne słowa, ale gotów był użyć teraz każdego argumentu, byleby tylko pokonać w niej ten irracjonalny strach.

– Rozum podpowiada mi, że masz rację, ale zakorzeniony we mnie lęk nie chce słuchać rozumu.

– A zatem powtarzam, Lucy, i musi to dotrzeć do ciebie. Nie wyobrażam sobie życia z tobą bez dotykania cię. Albo w pełni będziemy małżeństwem, albo rozwalmy do reszty to, co wspólnie zbudowaliśmy.

– Więc, jak mam się pozbyć strachu? Błagam, powiedz mi. Obiecał, że będzie mówił tylko prawdę, więc uczciwie powiedział:

– Nie wiem.

Opuściła rękę. Przechyliła głowę na ramię.

– Jestem taka zmęczona. Wracajmy.

– Wracajmy.

Tym razem on prowadził. Szedł z poczuciem klęski. Chciał konfrontacji, zderzenia argumentów, powiedzenia sobie wszystkiego – i właściwie otrzymał to. Co z tego, kiedy nie doszukali się wspólnie żadnego prostego rozwiązania.

Dwadzieścia minut później Lucy stała już na ganku swego domku.

– Dobranoc, Troy. Cieszę się, że o tylu rzeczach sobie powiedzieliśmy.

Był jej mężem. On i ona stanowili wspólnotę, której noc nie powinna była rozłączać.

– Lucy, chcę spać z tobą.

Cofnęła się o krok.

– Wykluczone! Nie jestem zabezpieczona.

A więc w tym punkcie nic się nie zmieniło, pomyślał z goryczą.

– Powiedziałem „spać”, a nie kochać się z tobą. Pojmujesz różnicę?

– A jeśli...

– Nie będzie żadnego „jeśli” – zapewnił ją twardym głosem.

Spuściła oczy.

– Dobrze.

W izbie było zimno jak w psiarni. Troy zapalił latarkę, a potem obie lampy naftowe. Mając światło, mógł zabrać się do rozpalania w piecu. Na zgniecioną gazetę położył garstkę suchych drewnienek. Przytknął palącą się zapałkę do papieru. Kiedy szczapy zajęły się, dołożył dwa grube bierwiona. Zamknął drzwiczki paleniska. Do popielnika spadło kilka iskier. Ogień szumiał i trzaskał.

Z łazienki wyszła Lucy. Miała na sobie długą bawełnianą koszulę nocną w jakieś delikatne wzorki. Wyglądała bardzo ponętnie. Po chwili była już w łóżku, z kołdrą naciągniętą aż pod samą brodę.

– Wstaję o szóstej – powiedziała pełnym napięcia głosem. – Ornitologowie wypuszczają się gdzieś z Clarence'em i zamówili śniadanie na siódmą.

– To lepiej nastaw budzik – powiedział, wchodząc do łazienki.

Kiedy po pięciu minutach wsuwał się do łóżka, ubrany w slipy i podkoszulek, to bardziej przypominał męża, który myśli o czekających go jutro zadaniach w pracy niż o własnej żonie.

– Dobranoc – rzekł, odwracając się tyłem do Lucy.

– Dobranoc.

Leżał z zamkniętymi oczami, słuchając zawodzeń wiatru na dworze. W piecu trzaskały polana. Oddech Lucy wydawał się dziwnie szybki i urywany.

– Jeśli chcesz, możesz przytulić się do moich pleców – powiedział.

– Zawsze przytulałam się do twojego boku – odparła. – Ale mogę i do pleców.

Łóżko zaskrzypiało. Poczul jej gorące piersi, gorący brzuch i zimne stopy.

– Zmarzłaś.

– Zaraz będzie mi ciepło.

Znowu zamknęła oczy. Słyszała, jak jej oddech powoli uspokaja się i nabiera regularności. I chyba właśnie ten jej oddech go uśpił.

Kiedy obudził się, dochodziła szósta. Wskutek wieloletniego treningu wyrobił w sobie zdolność budzenia się tuż przed dzwonkiem budzika. Leżał teraz na drugim boku, odwrócony twarzą do Lucy. Tulila się do niego, a on otaczał prawym ramieniem jej biodra. Czuł zapach jej włosów i ciepło jej ciała. Mógłby tak przeleżeć z nią cały tydzień albo i jeszcze dłużej.

Rozległ się wysoki, krótki i urywany sygnał budzika. Lucy drgnęła i otworzyła oczy.

– Dzień dobry, Lucy.

– Dzień dobry, Troy – odparła, lekko się rumieniąc.

– Jakie plany na dzisiaj?

Przeciągnęła się i podparła na łokciach.

– Z wyjątkiem śniadania, cały dzień należy praktycznie do mnie. Ornitologowie nie wrócą na lunch, a pani Mossop ma zająć się obiadem. Moglibyśmy więc po śniadaniu wybrać się na spacer.

Wolałby robić z nią co innego, niż włóczyć się po wyspie.

– Niech i tak będzie.

Lucy zamknęła się w łazience, on zaś, podłożywszy ręce pod głowę, oddał się swoim erotycznym marzeniom. Czymś w rodzaju zimnego prysznica była świadomość, że na wyspie nie ma apteki i byłoby z jego strony niegodziwością po raz drugi wystawiać Lucy na ryzyko zajścia w ciążę. Nawet gdyby zgodziła się kochać z nim. W co zresztą bardzo wątpił.

Rozdział 10

Troy i Lucy wyruszyli na spacer przy pięknej pogodzie. Idąc przez las, nagle poczuli, że wiatr się wzmaga. Czubki drzew chyliły się to w jedną, to w drugą stronę, choć na dole było jeszcze stosunkowo zacisznie. Dopiero gdy wyszli z lasu w pobliżu Wyspy Rybiej Głowy, wiatr rzucił się na nich, jakby chciał ich na powrót wepchnąć między drzewa. Na szczęście nie był to zimny wiatr, poza tym świeciło słońce, pachniały dzikie róże rosnące na skraju dąbrowy i w sumie dzień wydawał się wymarzony na piesze wędrówki.

Patrząc na wzburzony ocean, Lucy powiedziała:

– Wiesz co, Troy? Pobyt na tej wyspie był mi chyba pisany. Cięża i macierzyństwo Anny, przyjaźń z małym Stephenem, obrazy Quentina, petrele... Wszystko to sprawiło, że zmieniłam się tego lata i wiele zrozumiałam.

Stała po kolana w fioletowych ostach, a wiatr targał jej włosami. Wyglądała pięknie i kusząco.

– A jednak nie udało ci się uwolnić od strachu przed konsekwencjami fizycznej miłości.

– Za trzy tygodnie Keith i Anna zamykają hotel. Muszę pozostać z nimi do końca sezonu. Ale potem będę mogła wrócić do Vancouver.

– Do dwóch oddzielnych sypialni? – zapytał z gniewnym sarkazmem.

– Nie wiem, choć może niebawem dam ci odpowiedź na to pytanie. A teraz chodźmy posłuchać fok na Wyspie Rybiej Głowy.

Poszli plażą i niebawem znaleźli się na wprost skalistej i nagiej wysepki. Ojej wysokie brzegi rozbijały się rozpedzone fale, pryskając pianą, hucząc i odstępując w bezsilnej wściekłości. Jakby przerażone tym szturmem, foki milczały. Troy podniósł do oczu lornetkę i przez chwilę lustrował postrzępione skały. Nagle przykuło jego uwagę coś, co nie przypominało ani foki, ani ptaka.

Zobaczył łódkę, a w niej chłopca przy wiosłach. Stephen miał na sobie pomarańczową kamizelkę ratunkową. Łódka dostała się pomiędzy wystające z wody pojedyncze skałki, gdzie kipieli zdawała się wręcz gotować. Nagle wyrósł gdzieś z boku sporych rozmiarów grzywacz, załamał się nad dziobem łodzi i cisnął ją na urwisty brzeg. Stephen próbował wiosłem zamortyzować uderzenie, lecz był tylko dziewięcioletnim chłopcem na łasce żywiołów.

Troy oderwał lornetkę od oczu i rzucił się biegiem w kierunku samotnego świerku, gdzie, jak pamiętał, powinna być druga łódź. Na szczęście stała na swoim miejscu.

– Troy, zachowujesz się jak wariat. Co się stało? – zapytała Lucy, dobiegając doń.

– Stephen jest sam na łodzi... u brzegu Rybiej Głowy. Jest w wielkim niebezpieczeństwie. Pomóż mi zepchnąć tę łajbę – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Z ust Lucy nie padło już ani jedno pytanie. W lot pojęła, że nie mogą tracić cennego czasu na słowa.

Przewrócili łódź, przeciągnęli ją po piasku i spuścili na wodę. Troy usiadł na ławeczce i ujął wiosła. Krzyknął:

- Biegnij po Quentina. **Jeśli** ma jakąś linę, niech ją koniecznie przyniesie. Pośpieszcie się.
 - Płynę z tobą!
 - Wykluczone! Będę potrzebował pomocy w drodze powrotnej. Biegnij, Lucy.
- Zawahała się, ale to jej mocowanie się z samą sobą trwało tylko sekundę.
- Troy, uważaj na siebie. Kocham cię. Pędzę.

Zanurzył wiosła i ciągnąc je, odchylił się całym ciałem do tyłu. Przy czwartym czy piątym pociągnięciu był już przemoczony do suchej nitki. I nie dlatego, że zalewały go fale. Wystarczał sam wiatr, który porywał z grzbietów grzywaczy cząsteczki wody i ciskał je na niego. Co pewien czas odwracał głowę, by sprawdzić położenie Stephena i swój własny kurs. Za którymś razem stwierdził ze zgrozą, że chłopiec ma już tylko jedno wiosło i właściwie przestał panować nad łodzią.

Musiał go uratować. Musiał go uratować chociażby dlatego, że nie mógł uratować Michaela.

Wiosłował jak szalony. Pracowały nie tylko ręce i nogi. Pracował każdy mięsień jego zziębniętego ciała. Na razie wiatr był mu sprzymierzeńcem. Wiał od strony rufy i w jakiejś mierze popychał łódź do przodu. Niestety, tamował oddech.

Dopłynął do Stephena, korzystając niemal z ostatnich zapasów sił. Zrobił zwrot i ustawił się dziobem na wiatr.

- Stephen, teraz odepchnij się wiosłem od skały! – zawołał, przekrzykując wiatr i huk fal.

Zanim obie łódki otarły się o siebie z nieprzyjemnym zgrzytem, zdążył jeszcze wyciągnąć lewe wiosło z wody. Wychylił się w bok, porwał chłopca w ramiona i przeniósł go na swoją łódź. Wykorzystał moment i na pewno mógł mówić o szczęściu. Już w następnej bowiem sekundzie łódka Stephena dostała się na spieniony grzbiet fali i niczym okruch lub łupinka orzecha uniesiona została ku przybrzeżnej kipieli.

- A teraz trzymaj się, chłopie, i nie daj się zmyć.

Biorąc pod uwagę ogromny ubytek sił, jaki kosztowało go dopłynięcie do Stephena, powinien był teraz właściwie przybić do Rybiej Głowy, odpocząć i dopiero potem wyruszyć w drogę powrotną. Tak byłoby najrozsądniej, ale zarazem ten wariant nie wchodził w rachubę. Bałwany bowiem z taką wściekłością rozbijały się o skały, że o w miarę bezpiecznym przycumowaniu w ogóle nie mogło być mowy. Pozostawało więc płynąć ku wyspie, tym razem pod wiatr, który jeszcze jakby przybrał na sile.

Troy zanurzył wiosła. Pociągnął. Powrócił, znów zanurzył i znów pociągnął. Właściwie nie

czuł ramion. Otarte dłonie piekły. Jeden z grzywaczy załamał się nad łodzią i napełnił ją do połowy wodą. Mimo że połączone z tym było pewne ryzyko wypadnięcia za burtę, Stephen musiał w tej sytuacji sięgnąć po naczynie i zająć się wylewaniem wody. Po prostu nie było innego wyjścia, a każdy metr bliżej brzegu stanowił o ich zwycięstwie.

Płynęli, chociaż tak wolno, iż wydawało się, że stoją w miejscu. Troy w każde pociągnięcie wiosłami wkładał maksimum wysiłku, mimo to nie mógł utrzymać obranego kursu. Znosiło ich na przybrzeżne skałki, tym bardziej zdradliwe i niebezpieczne, że na nich właśnie ocean skupiał jakby całą swoją agresję.

Na domiar złego wciąż nabierali wody. Stephen nie nadążał z jej wylewaniem.

W pewnym momencie chłopiec wykrzyknął:

– Widzę Lucy i Quentina!

I po chwili:

– Quentin wchodzi do wody. Trzyma jakąś linę.

– Kiedy rzuci jej koniec... – zaczął Troy, ale nie dokończył.

Przybój porwał ich, uniósł i rzucił na granitowy kolec. Wstrząs był tak silny, że Stephen wyleciał za burtę niczym szmaciana lalka. Nawet nie zdążył krzyknąć. Na sinawo-białej powierzchni kipieli jego pomarańczowa ratunkowa kamizelka niewiele się różniła od jesiennego liścia.

Troy skoczył i chwycił chłopca wpół. Natychmiast poszli pod wodę. Troy zdumiał się ciszą głębin, kontrastującą z piekłem na powierzchni. Skurczył się i nagłym ruchem wyprostował. Potem ponowił ów skok nurka ku światłu i powietrzu. Wypłynęli.

Zaraz też przyjęli pozycję na wznak, jako stosunkowo najbezpieczniejszą i kosztującą najmniej wysiłku. Stephen na szczęście oddychał, choć niemożliwie krztusił się i pluł wodą. Byli zresztą wciąż zalewani przez spiętrzone fale. Ale to nie było jeszcze najgorsze. Najgorsze dopiero mogło się stać, w przypadku gdyby jakiś bałwan cisnął nimi o skałki, miażdżąc im kości i rozszarpując ciała.

I nagle Troy poczuł ostre smagnięcie. Jakby ktoś zdzielił go biczem przez twarz lub wręcz przytknął mu rozpalony pogrzebacz do policzka. Lina Quentina! Wyciągnął prawą rękę, chwilę szukał jej po omacku, a gdy wreszcie znalazł, kurczowo chwycił się tej cudownej, niosącej ocalenie liny. Chłopcu, którego trzymał teraz tylko lewą ręką, polecił uczynić to samo.

– I nie puszczaj jej, mały, choćby nie wiem co się stało.

Ale już więcej nic się nie stało. Obaj trzymali się liny, którą wybierały na brzegu dwie pary rąk. Dopiero będąc już w ramionach Lucy, Troy dowiedział się z pewnym zaskoczeniem, że krwawi.

– Co ze Stephenem? – zapytał, zanim obejrzał swoje skaleczenie.

– Wszystko w porządku. Napił się tylko trochę słonej wody. Och, Troy, jak ty wyglądasz,

biedaku!

Wyglądał, faktycznie, nie najlepiej. Miał otarte dłonie, rozbite do krwi lewe kolano, pręgę na policzku i rozciętą skórę na klatce piersiowej wzdłuż mostka. Niektóre z tych ran stanowiły dlań prawdziwą zagadkę. Widocznie skacząc do wody za Stephenem, musiał otrzeć się ciałem o jakąś podwodną ostrogę i nawet tego nie poczuł.

Podszedł Stephen. Miał na sobie sweter Quentina, a w oczach mieszaninę skruchy i lęku.

– Wybrałem się po muszlę dla Jennifer – zaczął się tłumaczyć. – Bo tylko na Wyspie Rybiej Głowy można natrafić na duże i piękne muszle. Kiedy spuszczałem łódź, nie było jeszcze wiatru. Naprawdę. Przemyslałem nawet wówczas wszystkie możliwe niebezpieczeństwa, bo nie chciałem, żeby znów mnie ratowano i żeby tata mnie ukarał zamknięciem w pokoju. A potem zagapiłem się na foki i nie zauważyłem zmiany pogody.

– Gdybym był twoim ojcem, trzymałbym cię pod kluczem przynajmniej do Bożego Narodzenia. Postarzałem się przez ciebie o dwa lata. – Troy wziął chłopca pod brodę i spojrzał mu prosto w oczy. – Masz zamiar zostać przyrodnikiem, wiem to z twoich ust, więc musisz umieć rozróżniać wykalkulowane ryzyko od oczywistego niebezpieczeństwa. A teraz pokaż mi tę muszlę.

Z raczej niewyraźną miną chłopiec sięgnął za pazuchę i pokazał swą zdobycz.

– Myślisz, że spodoba się jej? – zapytał z niepokojem w głosie.

– Nie znam gustu tej panienki, ale muszla jest przebojowa. Wygląda jak biało-różowy kwiat. A teraz nie marudźmy już tutaj, tylko jak najszybciej wracajmy do domu, bo inaczej nabawimy się zapalenia płuc.

Musieli jednak jeszcze minutkę poczekać, gdyż przybój wyrzucił na piasek ich pustą łódź i trzeba było odciągnąć ją na bezpieczną odległość i przewrócić do góry dnem. Wszystko to zrobił Quentin przy pomocy Stephena, który dwoił się i troił, aby przynajmniej w drobnej części zrehabilitować się za swoją lekkomyślność.

Następnie rozdzielili się. Quentin i Stephen poszli szybkim krokiem pierwsi, gdyż należało chłopca jak najszybciej odstawić do domu i wpakować do łóżka, zaś Troy i Lucy powlekli się za nimi. Troy wspierał się na ramieniu Lucy i kuśtykał niczym żołnierz wracający z wojny. Droga dłużyła mu się straszliwie i jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak nieporadny i do tego stopnia zdany na pomoc drugiej osoby. Marzył o brandy, a wręcz o upiciu się, do czego zresztą przyznał się Lucy. Przyjęła to lekko i ze śmiechem. Miała go przy sobie żywego i to było w tej chwili dla niej najważniejsze.

A kiedy znaleźli się przed hotelem, powiedziała:

– Chodźmy do mnie, Troy. Po co masz wchodzić po schodach z tą bolącą nogą? Weźmiesz gorący prysznic, a ja tymczasem zorganizuję brandy, suche ubranie i jakieś środki opatrunkowe.

Byłby głupcem, gdyby odrzucił tę propozycję. Bo tylko głupcy odrzucają realizację swych marzeń.

Jedynie kolano wymagało założenia opatrunku. Siedział na krześle nagi, rozgrzany prysznicem i cudowną brandy, a Lucy obwiązywała mu nogę bandażem. Dziwne, zupełnie nie był świadomy własnej nagości i nie zauważył napięcia malującego się na twarzy Lucy. Ogarniało go błogie zmęczenie. Poczł senność. Dał podprowadzić się do łóżka, położyć i przykryć.

Zasnł w jednej sekundzie.

A teraz budził się ze snu. Plastyczność, wręcz namacalność sennej wizji przypominała jawę. Trzymał Lucy w ramionach – nagą, gorącą, drżącą z podniecenia. Wiedział, że kiedy otworzy oczy, marzenie pryśnie, pozostawiając gorycz niespełnienia. Tym bardziej więc pragnł przedłużyć ów stan pośredni pomiędzy snem a jawą.

Otworzył oczy.

Sen nie kończył się. Trwał.

Bo też to nie był sen. Lucy nie była zjawą, tylko cielesną istotą. Jej piersi, jej uda, jej brzuch nie pozostawiały co do tego najmniejszych wątpliwości. Dotknął wnętrza jej ud i natrafił dłonią na jej łono – i oto miał dowód. Zanurzył twarz w jej włosy. Pachniały odurzająco.

Lecz zaraz przypomniał sobie, że Lucy ciągle się boi, że ciągle nie jest gotowa, by ponieść wszystkie konsekwencje ich miłości.

– Lucy, przecież wiesz, jak cię pragnę. Lepiej nie kuś mnie.

– Nie kuszę ciebie, jestem tu, gdzie chcę być – szepnęła.

– Ryzykujesz zajściem w ciążę.

Czule pogłaskała go po naznaczonym pręgą policzku.

– Troy, kochany, dzisiaj o mało co nie utraciłam cię na zawsze. Nic nie znacę bez ciebie. Owszem, mogę oddychać, pracować, podglądać ptaki, ale nigdy nie będzie to prawdziwe życie, tylko jakby spychanie dni w przeszłość, dni podobnych do siebie i jednostajnie szarych. Kiedy tam przy skałkach zniknąłeś pod wodą, uświadomiłam sobie rzecz zasadniczą – bezsensowność mojego strachu, który jest niczym wobec obawy utracenia cię na zawsze. Pojęłam w jednym olśnieniu, że jeśli nie wynurzysz się, zostanę pusta w środku do końca mojego życia, niczym wydrażona tykwa. Bez męża. Bez kochanka. Bez dziecka w łonie pod sercem.

– Ja chyba ciągle śnię. Nie pamiętam, byś kiedykolwiek tak do mnie mówiła.

– Mówię prawdę. To moja uczciwość wobec ciebie dyktuje mi te słowa. Chcę mieć z tobą dziecko, Troy. Nasze drugie dziecko. Wiem, że będę się bała. Wiem, że będę trzęsła się o nie i

co wieczór prosiła Boga, by nie doświadczył nas ponownie. Ale przecież nie mogę wiecznie się bać. Muszę ufać, że pokonam strach miłością i spełnieniem. Więc jeśli nadal chcesz mieć ze mną dziecko...

– Nadal? Dziecko? A co powiesz na dwójkę? – Rozchylił dłonią jej uda.

– Więc od razu ustalmy, że nie spoczniemy, zanim nie dochowamy się piątki – powiedziała z uśmiechem, a był to uśmiech przez łzy.

– Proszę, uszczypnij mnie, bo wciąż nie mogę uwierzyć...

– Wolę cię pocałować.

– Jeżeli pocałujesz mnie, to wiesz, co się stanie... Może powinniśmy poczekać. Może nie jesteś jeszcze gotowa.

– Jakiś wewnętrzny głos mi mówi, że jest to święta i uświęcona chwila. Cokolwiek teraz zrobimy, może to zdecydować o całym naszym życiu. Czekaliśmy już dostatecznie długo.

– W porządku. Tylko uważaj na moje kolano. A kiedy będziesz mnie rozszarpywała, miej wzgląd na moje żebra.

– Kocham cię, Troy. I nie będę cię rozszarpywała.

Powędrowała dłonią w dół po jego brzuchu. Jęknął i wszedł pomiędzy jej uda. Nie chciała pieszczot i od razu wprowadziła go w swoją wilgotność. Zachłannie oplótła go nogami. Wymówiła jego imię, jak gdyby dając znak początku. Naparł lędźwiami raz i drugi. Odpowiedziała mu i wpadli w zgodny rytm. Krzyknęła, a on wytrysnął całym swoim jestestwem. Nigdy dotąd tak jeszcze nie kochali się. Prawie bez rozkoszy. A przecież czuli coś więcej niż rozkosz.

Opadł na poduszkę. Spojrzał na jej twarz. Była zalana łzami.

– Płaczesz? Co się stało?

– Płaczę ze szczęścia, kochany. Wyrządziłam ci wiele złego. Mam tylko nadzieję, że pewnego dnia mi wybaczysz.

– Lucy, byłaś matką, której umarł jej pierworodny. Większe nieszczęście nie może przydarzyć się kobiecie. Tu nie ma nic do wybaczenia.

– Nigdy go nie zapomnimy, prawda?

– Pozostanie na zawsze częścią naszego życia. Ale życia, które rozwija się i wzbogaca.

– Byłeś uparty i stanowczy, Troy. Nie ustąpiłeś mi ani na krok. Jestem ci za to wdzięczna.

– Chyba nie miałem wyboru.

– Miłość to jednak dziwna rzecz, nie sądzisz?

– Zadziwiająca – zgodził się skwapliwie.

Tego dnia spóźnili się na obiad. Pani Mossop kilkakrotnie spojrzała podejrzliwie na zaróżowione policzki Lucy, Troya zaś starała się w ogóle nie zauważać. Natomiast obojętność ornitologów nie była udawana. Pochłaniała ich bez reszty dyskusja o różnicach w ubarwieniu i

zachowaniach muchołówki nadobnej i muchołówki mugimaki.

Dziewięć miesięcy później Troyowi i Lucy urodził się synek, któremu nadali podwójne imię Christopher Stephen. Minęły trzy lata i ich mały Chris usłyszał pierwszy płacz swojej siostrzyczki, Shannon Lucille. Kiedy małeństwo zaczęło już gaworzyć, Troy i Lucy wybrali się z Chrisem i Shannon na Shag Island, gdzie spędzili cudowne wakacje.